Nr. 295. Kraków, Piątek 25 Grudnia 1891. Rocznik X.

„Nowa Reforma“ wychodzi codziennie, z wyjątkiem Niedziel i Świąt uroczystych.

Prenumerata wynosi:

	rocznie:	półrocznie:	kwartalnie:	miesięcznie:
W miejscu	20 zł. w. a.	10 zł. w. a.	5 zł. w. a.	1 zł. 80 ct.
Na prowincyi, z przesyłką pocztową	24 „ „	12 „ „	6 „ „	2 „ — ct.
W Państwie Niemieckiem	28 „ „	14 „ „	7 „ „	2 „ 50 ct.
Do Włoch, Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi, Turcyi i innych krajów	32 „ „	16 „ „	8 „ „	3 „ — ct.

Pojedynczy numer kosztuje 10 centów, z przesyłką pocztową 12 centów; — we Lwowie w Biurze dzienników Plona, ul. Karola Ludwika 9, do nabycia po 10 ct.

Prenumeratę przyjmuje się tylko za cały miesiąc.

Listy z pieniędzmi i *przekasy* pieniężne na prenumeratę i ogłoszenia (inseraty) uprasza się nadsyłać *franco* do Administracyi *Nowej Reformy* w Krakowie. — *Listy reklamacyjne nieopieczętowane* nie podlegają opłacie pocztowej. — *Listów niefrankowanych* nie przyjmuje się.

Rękopisów nadsyłanych Redakcya nie zwraca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica św. Jana Nr. 12.

NOWA REFORMA

Prenumeratę przyjmują:

zamiejscową: Administracya „*Nowej Reformy*“ i wszystkie urzędy pocztowe. **miejscową:** Administracya „*Nowej Reformy*“. — Magazyn nowości F. A. Grigara i Główna trafika w Rynku. — Biuro (Ig. Herz) Plac Maryacki, 9. — Handle: E. Śmidowicza i S. W. Niemojewskiego w Sukiennicach. J. Bajera przy ul. Grodzkiej.

Zamiejscową prenumeratę i ogłoszenia przyjmują Biura dzienników: We **Lwowie** Ludwik Plohn, ulica Karola Ludwika 11. — W **Tarnowie** Józef Pisz — W **Przemyślu** Heszeles. — W **Jarosławiu** Krzyżanowski. — W **Wiedniu** pp. Haasenstein & Vogler (także w Hamburgu, Frankfurcie nad Menem, Berlinie, Lipsku, Bazylei i Wrocławiu). — A. Oppelik, Stubenbastei Nr. 2, R Mosse (także w Berlinie, Hamburgu, Monachium i Norymberdze). — W **Paryżu** Société Mutuelle de Publicité A. Lorette, directeur, Rue Caumartin 61.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit), za pierwszy raz 10 ct., za każdy następny raz po 5 cent. — **Nadesłane** po 30 centów od wiersza za każdy raz. — **Załączniki** do „*Nowej Reformy*“ (prospekta, cyrkularze, ogłoszenia itp.) przyjmuje się za cenę 1 złr. od 100 egzemplarzy dla zamiejscowych, a 50 cent. od 100 egzem. dla miejscowych prenumeratorów. — Należytość uprasza się **naprzód** nadesłać przekazem pocztowym.

Od Redakcyi.

Z dniem 1 stycznia **1892** r. rozpoczynamy XI rocznik naszego dziennika.

Redakcya, na której czele pozostaje nadal dr. Adam Asnyk, dołoży starań, aby dział korespondencyj i telegramów z kraju i z po za jego granic utrzymać na wysokości zadania. — Oprócz głównego feletonu, który, jak dotąd, obejmie oryginalne powieści, nowele, krytyki i rozprawy ze świata literackiego, artystycznego i t. p., — zamieszczać będziemy, o ile ramy pisma naszego na to pozwolą, feleton drugi, urozmaicony zarówno pracami oryginalnemi, jak tłomaczeniami celniejszych utworów literatury zagranicznej, a zwłaszcza słowiańskiej.

Wierni dotychczas wyznawanym i głoszonym przez nas zasadom, wzbogaceni dziesięcioletniem doświadczeniem, zdążać będziemy nadal w kierunku politycznym, jaki wytknęliśmy sobie pierwotnie, gdyż upatrujemy w nim jedyną i najkrótszą drogę, wiodącą do urzeczywistnienia ideałów narodowych i do wywalczenia dla społeczeństwa polskiego tego stanowiska, jakie się mu w imię przeszłości jego i praw nieprzedawnionych, w imię żywotności jego, słusznie należy.

Przeszłość nasza uwalnia nas, jak sądzimy, od rozwijania dzisiaj programu, który spełnialiśmy z całą otwartością przez ubiegłe dziesięciolecie; wystarczy więc, jeśli powiemy: program dotychczasowy będzie podstawą przyszłej naszej działalności publicystycznej.

Niezależność w wydawaniu sądu o sprawach publicznych była i będzie zawsze cechą naszego dziennika; niezależność tę utrzymać musimy wśród wszelkich okoliczności, jeźli wywiązać się mamy z zadania, jakie zakreśliliśmy sobie sami i jakie dyktują nam potrzeby społeczeństwa polskiego. W tym celu jednak liczyć musimy na życzliwe poparcie zwolenników wyznawanych przez nas przekonań, — a mamy niepłonną nadzieję, że życzliwość ta towarzyszyć będzie naszej pracy w nowem dziesięcioleciu tak, jak pozwoliła nam wytrwać na trudnem stanowisku do tej chwili i stawić czoło wszelkim przeciwnościom.

Od Wydawnictwa.

Celem uregulowania nakładu przy nadchodzącym Nowym Roku **upraszamy o wczesne odnowienie prenumeraty**, której warunki podano w nagłówku, obok tytułu dziennika. Prenumeratę zamiejscową i miejscową przyjmuje **tylko** Administracya *Nowej Reformy* w Krakowie, i agencye wymienione w nagłówku dziennika.

Prenumeratorowie *N. Reformy* nabywać mogą, na mocy umowy zawartej przez nas z wydawcą, znane i piękne „ALBUM PAMIĄTKOWE ADAMA MICKIEWICZA“ po cenie wyjątkowo zniżonej. Album to zawiera 70 wielkich i mniejszych rycin, odnoszących się do życia Mickiewicza, od lat dziecięcych aż do zgonu, a nadto obejmuje treściwy życiorys poety.

Cena zwykła wynosi 7 złr. — a dla naszych Abonentów **tylko 5 złr.**, za co już przesyłka nastąpi franko. — Należytość nadsyłać należy do Administracyi naszego pisma.

„NOWE MODY“ po cenie znacznie zniżonej, a mianowicie: **1 złr. 20 ct. kwartalnie.**

Gwiazdka wielkopolska.

Poznań, 23 grudnia.

Z krainy, gdzie chwile radości tak rzadkie, a bolesne zawody codzienną są strawą, cóż mam nieść w dani na zbliżające się „święto Godów“? Opowiem krótko nasze cierpienia i nasze skromne radości; nie moja wina, że ostatnich będzie tak mało.

Rok miniony obfity był w wielkie straty materyalne i moralne. Komisya kolonizacyjna poszczycić się może wspaniałemi zdobyczami dzięki niepatryotycznej robocie tych, na których przedewszystkiem cięży obowiązek utrzymania tego, co im wieki przekazały. Czarna księga kolonizatorów znowu powiększyła się o karty nader smutne, znowu skompromitowane zostały najpierwsze imiona w Księstwie, a smutne te wypadki nie powstrzymują jak powszechnie u nas wiadomo, od naśladowania wzorów, od bicia czołem u progu szafującej hojnie pieniądzmi komisyi, która wywłaszcza nas z najświętszego dobra, jakie nam jeszcze pozostało, — z ziemi ojczystej.

Mimo rozpaczliwego nawoływania naszej i waszej prasy, nasi posiadacze większej własności, nieraz reprezentanci najpierwszych rodów, bez rumieńca wstydu „kurczą Ojczyznę“, i przykładają ręki do tego, że rząd pruski wypędza setki ludu z ojczystego zagonu, by go już nigdy pług polski nie uprawiał. Co więcej, mnożą się złe duchy, które na tę zdradę narodowej sprawy mają słowa uniewinnienia, a nawet fałszywe rozpuszczają wieści, że do zakupna nabytych przez komisyę włości dopuszczeni zostaną i polscy włościanie. Ale wróg sam postarał się o to, by wymówki te nie mogły usprawiedliwiać zaprzepaszczania ziemi polskiej bo ogłoszono formalnie, że żadna zmiana w ustroju komisyi kolonizacyjnej już nie nastąpi, że jak dotąd tak i nadal nabywać ona będzie włości polskie, by na nich osadzać kolonistów niemieckich, budować szkoły niemieckie i stawiać zbory protestanckie. Czy ta straszna rzeczywistość nie zdolna stłumić w nas wszelkiej radości wigilijnej?!

Zagrożone w ten sposób w najkardynalniejszej podstawie bytu swego społeczeństwo polskie, rujnuje „troskliwy“ rząd we wszystkich dziedzinach ekonomicznego życia. *Dziennik Pozn.* podał nie dawno dokładny wykaz posad urzędniczych, jakie Polacy w zaborze pruskim zajmują. Na 4 prawie miliony ludności polskiej liczba urzędników Polaków nie przenosi i setki, a i z tej liczby znaczna część zesłaną jest w dalekie okolice niemieckie, na pastwę germanizacyi.

Młodzież polska poświęcać się już może tyklko zawodowi lekarskiemu i duchownemu lub tym, które później w prywatnem życiu zapewnią jej chleb powszedni; ta zaś młodzież, która miała odwagę poświęcić się karyerze, uprawniającej ją „*de iure*“ do posad rządowych, „*de facto*“ ich nie otrzymuje, i albo przerzuca się następnie do zawodów praktycznych, albo marnieje. Zaledwie stróżem nocnym może u nas zostać Polak.

Upadające u nas rolnictwo nie może dość wysokich płacić cen robotnikowi rolnemu a skutkiem tego wychodźtwo z dzielnic polskich nie tylko że się nie zmniejsza, ale coraz większe przybiera rozmiary. W. ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie dostarczają największego z wszystkich prowincyj niemieckich kontyngentu wychodźców; dość wspomnieć, że w roku bieżącym z samego księstwa emigrowało przeszło **12000** ludzi za morze, by w dalekich ziemiach pędzić żywot tułaczy i ginąć w części marnie dla ojczyzny.

Ale obok tego gnębiącego nas ogładzania materyalnego, straszniejszy u nas panuje głód ducha. Ze wszystkich urzędów, nawet autonomicznych, wydalony jest nasz język ojczysty, wszędzie na naszej ziemi rozwielmożnił się język niemiecki, a nawet ostatniego nam pozazdroszczono zakątka, ogniska domowego i świątyń polskich i tam chytrze zastawiono na nas sidła. Ze szkoły, którą cały świat cywilizowany popiera jako najwyższą instytucyę humanitarną, rząd „cywilizowanego“ narodu niemieckiego zrobił osobny rodzaj koszar ku gnębieniu języka, którego dziecię polskie nauczyło się od matki; zrobił z niej zakład przymusowej tresury polegającej na bezmyślnem wbijaniu w pamięć dziatwy polskiej frazesów niemieckich, na wytępianiu w niej wszelkich uczuć polskich i uczeniu jej patryotyzmu pruskiego.

Oficyalnie dziecię polskie nie słyszy u nas ani jednego słowa polskiego, a nawet nauki religii nadużyto do tresury pamięciowej — i propagandy germańskiej. — Nie mniej pieśń polska zupełnie usunięta została ze szkoły, a zastąpiono ją niemieckiemi „*Liedami*“. To też słyszysz dzisiaj dziatwę polską, wyśpiewującą po ulicach piosnki niemieckie a serce przechodnia ściska się, gdy co chwilę o uszy jego odbija się „*Heil dir im Siegeskranz*, — „*Die Wacht am Rhein*“, — „*Ich bin ein Preusse*“, — „*Deutschland, Deutschland über alles*, i t. p. śpiewy, sławiące wielkość i sławę niemiecko-pruskiego *Vaterlandu*.

Nie jednego też rodzica zachmurzy się czoło przy wieczerzy wigilijnej, gdy usłyszy dziecię swe kaleczące język ojczysty, gdy z ust jego nie usłyszy ani jednej pieśni kolędowej, — jeżeli sam w domu własnym złemu nie zaradził. Nie dziw więc, że w dniu tym powszechnej radości i wesela rodzic polski na widok takiego swego wychowania dziecka gorzko zapłacze nad przyszłą dolą swego potomstwa.

Jałmużna jaką nam dano w tym roku przyzwalając na prywatną naukę języka polskiego, wcale tych obaw zmniejszyć nie zdolna, bo nie jest to nauka zorganizowana, pedagogiczna, a nadto nowy na rodziców nakłada podatek, tem mniej usprawiedliony, że i tak wysoki przymusowy płacić musi podatek na szkołę obowiązkową, której głównem zadaniem jest zgermanizowanie dziecka polskiego. A jałmużny tej nie udzielono wcale Prusom zachodnim, nie udzielono Śląskowi i na próżno domagają się tego tamtejsze pisma polskie a rodzice polscy ślą petycye jedne za drugiemi. Opiekuńczy rząd nasz pracuje z całą świadomością swego postępowania nad obniżeniem poziomu umysłowego naszego społeczeństwa i przyspasabia w ten sposób grunt dla zasad kosmopolitycznych, które jednak, dzięki gorącemu poczuciu narodowemu całej ludności polskiej, dotąd nie zdołały silniejszych w niej zapuścić korzeni.

Wobec tak rozpaczliwego położenia materyalnego i duchowego głodu nie dziw, że po długich latach wytrwałej walki, siły poczynają opadać ciężko strapionemu społeczeństwu i poczynają kusić je duchy zwątpienia i abnegacyi, — że w własnym naszym obozie zaczyna się szerzyć duch niesforności i demoralizacyi, bo wróg wszelkiemi siłami starał się do tego obozu wnieść zarazę, aby go tem prędzej rozbroić i w puch rozbić.

Narzucili się społeczeństwu różni fałszywi apostołowie, którzy wyrzekłszy się starych bogów społeczeństwa, poczęli się kłaniać nowym, jak oni fałszywym. Pojawiły się jednostki, które za jeden uśmiech łaski monarszej gotowe były zaprzepaścić honor i nieskalaną przeszłość społeczeństwa, poważyły się z trybuny parlamentarnej głosić słowa zwątpienia, odzierać nas z najszczytniejszego miana „Polaka“, a dyskredytować wobec swoich i obcych mężów, którym rozbudzenie uczuć narodowych i patryotycznych w najniższych warstwach narodu zawdzięczamy.

Jeżeli do tego dołączymy inne jeszcze grzechy nasze, jak rujnującą wiele jednostek namiętność gry giełdowej i innych gier hazardownych, brak oszczędności w naszem życiu ekonomicznem, chęć zabaw i lekkomyślne trwonienie fortuny, która to zaraza poczyna się już udzielać i wolnym dotąd od niej niższym sferom społeczeństwa, to pojmiemy, dla czego troska o przyszłość coraz bardziej zasępia nam czoło.

Oprócz jałmużny zaprowadzenia prywatnej nauki języka polskiego, w kończącym się roku jeden tylko zaznaczyć możemy tryumf naszej sprawy, a mianowicie nominacyę Polaka następcą św. Wojciecha na naszej stolicy arcybiskupiej.

Radość też ztąd w narodzie jest niepodzielna i wszyscy powitamy nowego arcybiskupa, odzianego purpurą dawnych prymasów Polski, z należytym szacunkiem jako Polaka, nie pomnąc wcale na jego działalność polityczną w ostatnim czasie. Ale jest to jedyna radość nasza, ona będzie nam osłodą przy rozpamiętywaniu wszystkich innych zadanych i zadawanych nam razów.

Ale i z innego jeszcze powodu nie oddamy się rozpaczy. Jest w narodzie naszym niespożyta siła. Przetrwał on wiek cały najsroższych katuszy i doświadczeń, a przetrwał go zwycięsko; bo kiedy przed 100 laty kilka set tysięcy czuło się zaledwie narodem, dziś czują się nim miliony; bo kiedy przed stu laty handel i przemysł skromną tylko stanowił cyfrę w naszym budżecie narodowym, dzisiaj wzmógł się i spotężniał i stanowi siłę, z którą wróg koniecznie musi się liczyć; bo kiedy przed wiekiem mieszczaństwo było w zawiązku a lud pogrążony w ciemnocie, dziś miasta i miasteczka nasze zaludniły się skrzętnymi kupcami i pracowitymi rzemieślnikami, a lud nasz utrzymuje dziesiątki tysięcy pism polskich, pracujących nad jego oświatą.

Prawda, zrobiono w obozie naszym straszne wyłomy, ale gdy starsza brać opuszcza w części ręce i opuszcza powierzone sobie sztandary, to luki wypełniają się nowo zaciężnymi, którzy wprawdzie nie szczycą się tradycyjnemi nazwiskami, ale krzepką mają dłoń do pracy.

To nadzieja nasza, która pozwala nam przytłumić boleść, zadawaną nam skądinąd i z radością powitać gwiazdkę wigilijną, zwiastującą odrodzenie ludzkości z wiekowych pomroków. Oby ona zwiastowała nam zaranie lepszej przyszłości, a piszącemu te słowa na przyszłość weselsze niż dzisiaj pozwoliła skreślić karty. (φ.)

Sprawy krajowe.

Lwów, 23 grudnia.

(Przedłużenie terminu użycia kredytów budowlanych.)

Uchwałą z dnia 18-go listopada 1890 upoważnił Sejm Wydział krajowy do postawienia budynku dla państwowej zawodowej szkoły ślusarskiej w Świątnikach górnych, kosztem najwyżej 35 000 złr. i przyznał na ten cel na rok 1891 kredyt w sumie 10.000 złr., jako pierwszą ratę. Kredyt ten wszakże nie mógł być w tym roku zużytym z powodu, iż zaszła zmiana w wyborze miejsca pod budowę, skutkiem czego pierwotny plan musiał być całkowicie zmieniony, tak że szkice planów dopiero z końcem bieżącego miesiąca będą mogły być ministerstwu oświaty przedłożone.

Również nie mógł być w ciągu roku budżetowego 1891 zużytym kredyt 65 000 złr., uchwalony przez Sejm w roku zeszłym na budowę i wewnętrzne urządzenie pawilonu chirurgicznego w szpitalu św. Łazarza w Krakowie, a to z powodu, iż co do wyboru miejsca pod budowę zaszły ze strony rządu trudności, które dopiero w bieżącym miesiącu zostały rozwiązane.

Także sprawa budowy internatu w Dublanach, wymagająca licznych studyów i narad wstępnych, nie dojrzała jeszcze do tego stopnia, aby już w ciągu roku bieżącego zająć się mógł Wydział krajowy przygotowaniem materyału budowlanego. Wskutek tego nie będzie mógł Wydział krajowy zużytkować w roku bieżącym przeznaczonego przez Sejm na ten cel kredytu, w sumie 10.000 złr. Z uwagi, że wszystkie kredyty, jeśli po dzień 31 marca 1892 r. nie będą zużytkowane, straciłyby dla Wydziału krajowego moc obowiązującą, i nie mogłyby już wcale być użyte; z uwagi dalej, że skutkiem tego musianoby,

Z CHOINKĄ.

OBRAZEK.

Grudniowe niebo, tysiącem gwiazd zasiane, smutnie spoglądało na strzechy chat wiejskich, które, tu i ówdzie porozrzucane, zdawały się bez życia wśród zamarłej natury. Przed niemi lśniąca lodowa skorupa więzi Wisły fale, a za nią, zdala Wawel, z dumą dźwiga majestatyczne mury zamku.

Cisza... nigdzie głosu ludzkiego, nigdzie szczebiotu ptactwa, — nawet psy ukryły się przed dokuczliwym mrozem.

Nagle, drzwi chatki jednej skrzypnęły, a w nich ukazał się chłopczyna około lat dwunastu. Mizerny był i licho odziany. Wyszedłszy z ciepłej izby na mróz, wstrząsnął się chłopiec, lecz się nie cofnął, a stojąc na progu, przymknął wrota za sobą. Główkę, lnianym ocienioną włosem zwrócił w stronę Wawelu.

— O Jezu słodziusieńki! — szepnął z cicha, i patrzał z zachwytem na te olbrzymie mury oświetlone bladem światłem księżyca, godne pędzla malarza.

Chłopczyna stał na mrozie i drżał całem ciałkiem, szczękał zębami — skostniałą od zimna rączkę położył na drewnianej klamce.

— Wojtuś — odezwał się tuż za nim głos cichy, drżący — pójdź do izby.

— Pójdźcie no *haw* dziadulu, patrzajcie ino, jak zamek świeci się cały.

— Chodź, chodź Wojtuś, — upominał starzec — takie zimno okrutne, a i do izby wieje.

— Dziadulu a czy będzie jutro ciepło?

Staruszek wychylił siwą głowę z izby i spojrzał ku niebu.

— Ej! gwiazdy skrzą się na mróz.

— A to z choinką nie pójdę?

Głos dziecka drżał od zimna i smutku.

— Ano, może *ta* i zelży jeszcze, kto ta wie?

Chłopak sposępniał. Markotny wszedł do izby.

— Wojtuś, Wojtuś — gderała matka, — wychodzisz na takie zimno, co i psa wygnać szkoda.

— Chciałem obaczyć gwiazdy i niebo, i zamek.

— Co cię ta opętało z tym zamkiem i niebem, a czy tobie *dziwny* zamek, czy co? Codzień go masz przed sobą i mało ci jeszcze?

— Widzisz matuś, tam króle nasi mieszkali.

— To co, że mieszkali? ale dziś nie mieszkają i tyla — odrzekła.

Stary krzyknął:

— Nie swarzyłabyś Maryś na chłopaka — ujął się za prawnukiem.

— Bobyście też dali pokój z temi bajami, chłopak po nocach nie sypia i tyla.

— Głupiaś! — uniósł się starzec — to nie baje nijakie! toć ja sam własną krwią broniłł tej Polski biednej.... Ale co tobie gadać o tem! głupiaś i tyle.

— Bobyście przestali i o tem płakać i lamentować. Śmieją się z was ludzie.... A wam co po tem?

Stary zamilkł; pomarszczona twarz jego sposępniała. Kobieta obierała ziemniaki, a chłopiec przykucnąwszy pod piecem, marzył:

Co on to kupi sobie? O tego i dziadulowi jeszcze nie powiedział: nie powie mu, aż sprzeda drzewko, co mu „chrzestny“ darował.

A jak dostanie za nie srebrniaki!...

Pani „*profesorka*“ uczyła w szkole o królu, co pierwszy kazał burzyć figury z kamienia, a krzyże poustawiać; i o tym, co był tak waleczny, że aż miecz wyszczerbił; pokazała im nawet obrazek, na którym wymalowany był Bolesław z szablą w górę wzniesioną Jakby on rad z blizka przypatrzyć się temu obrazkowi! dotknąć go choćby końcem palca! Niechno on sprzeda choinkę, a kupi sobie taką książkę, a zacznie dziadulowi czytać. Toć dziadowi aż łzy pociekły po pomarszczonej twarzy, jak mu zaczął opowiadać, co słyszał w szkole. A jak jeszcze powtórzył słowa nauczycielki: „Nie mamy już Polski moje dzieci“ to stary rozpłakał się na dobre, a ocierając oczy rękawem sukmany, jał prawić o tym Kościuszce, co to chłopków kochał jak braci i chciał Ojczyznę z niewoli wybawić. Toż to był wojownik wielki, a święty człowiek!

Cóż dziwnego, że Wojtuś, wzrósłszy pod okiem pradziada który całą duszą czuł się Polakiem, z wrażliwością młodocianej duszy, przejął się ową wielką miłością ku Tej, o której właściwie jasnego pojęcia nie miał, której jednak wyrządzoną została wielka krzywda, niesprawiedliwość, o pomstę wołająca do Boga.

Kochał ją.. wierzył w lepsze czasy, i modlił się za nią.

— Toć i pani *profesorka* tak samo myśli jak dziaduś, a takie ma śliczne błękitne oczy, kieby niebo, a włosy złote jak u świętych na obrazku.

— Chłopak kochał ją troszeńki mniej od Boga, a daleko więcej od matuli.

Całą noc Wojtuś nie spał. Jutro miał iść do miasta z tą śliczną wysmukłą choinką, a jak ją sprzeda, pójdzie do sklepu i zażąda książki o królach z kolorowemi obrazkami.

— A co dziaduś powiedzą, jak to obaczą? A jak on im jeszcze czytać zacznie! — Ale z tem czytaniem poczeka, aż matuś spać pójdą, to on wstanie cicho z pościeli, zbudzi dziadka i pokaże mu skarb swój.... — A co powie Szymek? Co wieś cała powie? toli pozazdroszczą... Ale czy tylko tam w mieście kupią drzewko?... Coby nie kupili? Przejdzie bez Wiselkę, stanie między chłopakami, co drzewek mają moc, a poustawiają je niby w jakim lesie, i jak spojrzy błagalnie na tych panów z miasta, to i kupią. Żeby jeszcze wiedzieli, że mu trzeba książki o królach! Bo czy to w mieście nie Polacy, czy co? a juści że Polacy, i pewno poznają, że on polskie dziecko. A jakby nie mieli wiedzieć, to on im o Polsce zaśpiewa; przecie ich *Pani* śpiewać uczyła, a jakże! To jak on zacznie śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła“.... bo, że nie zginęła to pewno: sam dziaduś powtarzają codzień: „Niechno my Moskalowi skórę wytrzepiemy“. Oj, żeby to! sam Wojtuś chętnieby chwycił za kosę..

I marząc w dalszym ciągu o książce, którą kupi za choinkę, uśmiechał się chłopczyna rozkosznie, a oczęta, choć mu się do snu kleiły, skierował w stronę zamku, który przez małe szybki widać było, a serduszko biło mu mocno pod grubą koszuliną.

Z pierwszym brzaskiem dnia zerwał się z pościeli, ubrał szybko, a zmówiwszy „Ojcze nasz“, pobiegł do towarzysza.

— Szymek — zawołał na chłopca, przecierającego zaspane oczy — prawda, że zelżało?

— A co miało zelżeć?

— Bo widzisz, idę do miasta z choinką

— Twoja?

— Ano? chrzestny mi ją darował. Kupię se za nią książkę.

— Głupi! co ci po książce! Kup se lepiej pas, taki, jak ma Bartek.

— Cieee! pasbym ta kupował! — i rozgniewany trzasnąwszy drzwiami, wybiegł z chaty.

Otuliwszy się w sukmankę i szal kraciasty, a czapkę nacisnąwszy na uszy, rusz[illegible] drogę [illegible] gnąc za sobą na małych sane[illegible] zi[illegible] drzewko. W mieście już chło[illegible] mnóstwo, a mieli po kilkanaście dr[illegible] w równym poustawiali szeregu. Stan[illegible] między niemi i czekał...

Ludzie rzadko się pokazywali, rzadziej jeszcze pytał się kto o drzewka... Ku południowi dopiero ruch się zwiększył, towarzysze jego zaczęli targować, a wszystko się spieszyło bo mróz każdemu dał się dobrze we znaki, wypiekając na nosach i policzkach ciemne rumieńce. I Wojtuś porządnego złapał gila, ale czekał cierpliwie. Co nie miał czekać? Włożył oto ręce do kieszeń sukmanki, a przeskakując z nogi na nogę, przypatrywał się przechodniom. Coraz większy ruch zaczął go bawić. Nadzieja weń wstąpiła. — Tyle ludzi, toć przecie znajdzie się choć jeden, który kupi, a jak kupi... — tu znów chłopcu stanął przed oczyma ten król z mieczem w górę wzniesionym, w takim ślicznym czerwonym płaszczu, jak matusina spódnica. Akurat!

Ale zimno na dobre zaczyna mu dokuczać, a i głód powoli czuć się daje. Jakoś nikt o jego towar nie pyta nawet...

Dwunasta wybiła na wieży. Najsamprzód słyszy jeden zegar — jak ci to bije: bim... bam...— a jemu tak samo serce bije... bo gdyby nie kupili!...

Ma w kieszeni chleba, a sera spory kawałek, co mu matula dali na drogę, więc wyciąga chleb i kozikiem kraje i zajada... zajada. A ogląda się ciągle, czy kto nie spyta o choinkę. A tu już wszystkie dzwony wybiły, i słychać trąbkę z wieży... a i ludzi dużo, coraz więcej...

A tu studenci i panny i dzieci ze szkół przechodzą przez ten zielony szpaler choinek... ale ani spojrzą na niego. Więc strzeliła mu myśl do głowy, jakby tu zwrócić na siebie uwagę. Wie już co zrobi: Toć to wszyscy bracia jego, jednej matki dzieci...

I z piersi dziecka wydobyła się słaba melodya: „Jeszcze Polska nie zginęła“...

Nie obudziło to zajęcia; nikt ani spojrzał na [illegible]bnięte dziecko, stojące koło wysmukłej jo-[illegible]

— Nie słyszą — pomyślał, i zanucił głośniej, [illegible]niej.

Kilku studentów oglądnęło się za małym, drżącym od zimna śpiewakiem i wesołym wybuchło śmiechem.

Nie zraziło to chłopca, lecz śpiewał coraz donośniej. Nie zważał na zimno i głód, zapomniał o jodełce, stanowiącej cały jego majątek, wiedział tylko, że „ona“ nie zginęła, że „ona“ powstanie... widzi w wyobraźni swej całe tłumy, spieszące ku niej, widzi wielkich panów, bratających się z biednym kmiotkiem, jak synowie jednej matki...

A tymczasem głośny gwar zbudził go z zadumy, przerwał śpiew jego. A oto grupa stojących dam i panów otoczyła go w koło. Młoda śliczna pani śmieje się wesoło, zasłaniając białe ząbki mufką futrzaną, a kilku panów w świecących jakby szkło kapeluszach przypatruje mu się ciekawie. Czegoż oni chcą? gapią się, jakby na komedye jakie!

— Co za patryotyzm! — zawołała wreszcie śmiejąca się pani.

Wszyscy się śmiali.

Pan jakiś, ze szkiełkiem w oku odciągnął wesołą panią

— Chodź, chodź, to pewno jakiś idyota.

— A zapewne, że idyota, ale zabawny sobie!

Wojtuś zrozumiał: We wsi był starego Macieja syn, co chodził od chaty do chaty i żebrał,

celem wykonania tych budowli, kredyty powyższe wstawić do budżetu roku 1892, a tem samem niedobór tego budżetu znacznie podnieść, a wraz z nim i cyfrę finansowej operacyi, na r. 1892 zamierzonej. — Wydział krajowy uchwalił odnieść się do Sejmu z wnioskiem przedłużenia powyższych trzech kredytów po koniec roku budżetowego 1892.

Organizacya kolei państwowych.

Wczoraj ogłoszono w *Wiener Ztg.* nowe rozporządzenie ministerstwa handlu o zmianach w dotychczasowej organizacyi kolei państwowych. Określono tutaj zakres działalności tak dyrekcyi generalnej w Wiedniu, jak dyrekcyj ruchu, państwowej rady kolejowej i t. p. Ostatecznie nowa organizacya odpowiada w punktach zasadniczych temu, co pisaliśmy o niej w swoim czasie, gdy zakończyły się w tej sprawie rokowania między rządem i Kołem polskiem.

Zakres działania dyrekcyi generalnej w Wiedniu obejmuje: jednolite regulowanie służby we wszystkich gałęziach przez wydawanie powszechnie obowiązujących rozporządzeń, instrukcyj i t. p.; budżetowanie, kasowość i rachunkowość całej administracyi kolei państwowych; wyrokowanie w sprawach osobistych, awansowanie, przydzielanie do służby i przenoszenie urzędników, o ile ono nie jest zastrzeżone dyrekcyom ruchu; najwyższe kierownictwo konserwacyi kolei i budowli kolejowych i ruchu kolejowego; ewidencya nad materyałem kolejowym; ustanawianie i zmienianie taryf osobowych i towarowych, — interpretacya ich w razach wątpliwych; rostrzyganie rekursów przeciw zarządzeniu niższych organów kolejowych.

Rada kolejowa składa się z przewodniczącego i 66 członków, których mianuje minister handlu na przeciąg trzech lat. Z tych mianuje minister handlu 9 członków wedle własnego wyboru, po dwóch na przedstawienie ministrów skarbu i rolnictwa, jednego na przedstawienie ministra wojny; 36 na przedstawienie Izb handlowo-przemysłowych; 16 na przedstawienie rad kultury krajowej lub Towarzystw gospodarczych.

Izby handlowe we Lwowie i Krakowie wybierają po dwóch członków, Izba handlowa w Brodach jednego członka, oba Towarzystwa rolnicze w Galicyi po jednym członku.

Rada kolejowa „wydaje opinię" we wszystkich ważniejszych wnioskach, dotyczących spraw taryfowych; o planach i rozkładach jazdy; o zasadach rozdziału robót i dostaw. Nadto „na wezwanie ministra handlu" może rada kolejowa dać swą opinię o wyborze miejscowości na inspektoraty kolejowe, dyrekcye ruchu, warsztaty, magazyny i t. p. Radzie kolejowej przysługuje prawo stawiać pytania i wnioski w sprawach kolei państwowych w ogólności.

Rada kolejowa zbiera się najmniej dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni, na zaproszenie ministra handlu. Na zaproszenie przewodniczącego mogą na posiedzenia rady kolejowej być wzywani znawcy, o ile nie są organami administracyi kolejowej. Przewodniczącym rady kolejowej jest minister handlu, w zastępstwie prezydent dyrekcyi generalnej.

Zakład dyrekcyi ruchu stanowi zamkniętą całość dla siebie w sprawach: konserwacyi kolei, ruchu i zarządu materyałów, następnie dla ogólnych spraw administracyjnych włącznie z zarządem materyału. Dyrekcyi ruchu podlegają: organa służbowe tejże najniższych rang, inspektorat dla budowy i utrzymania kolei, magazyny materyałów i ekspenowane organa kontrolujące, inspektoraty kolejowe i departament rachunkowy. Miejscowości, gdzie ma być siedziba dyrekcyi ruchu, wyznacza minister handlu za przyzwoleniem cesarza i z uwzględnieniem wymagań służby.

Na zewnątrz reprezentuje dyrekcyę ruchu jej dyrektor.

Zakres działania dyrekcyi ruchu obejmuje wykonywanie i czuwanie nad miejscowym ruchem kolejowym i służbą kolejową, a mianowicie: układanie preliminarza rocznego; przyjmowanie, awansowanie, uwalnianie od służby urzędników do wysokości rangi, połączonej z roczną pensyą 1200 złr. włącznie, aspirantów na urzędników, dyurnistów i służby, budników, personalu pomocniczego; przenoszenia we własnym okręgu, z wyjątkiem urzędników z płacą 1200 złr., którzy są naczelnikami służbowymi; wszystkie inne sprawy osobiste i dyscyplinarne, z wyjątkiem urzędników pobierających 2000 złr. rocznej pensyi.

Do agend dyrekcyi ruchu należy także: udzielanie urlopów do 4 tygodni, a w wyjątkowych wypadkach do 3 miesięcy, zezwolenia na remuneracye do kwoty 100 złr., przedkładanie wniosków w sprawie rozszerzenia zakładów kolejowych, nadzór naczelny nad policyą kolejową, przedstawianie wniosków o zmianę taryf, ulgi frachtowe, wydawanie kart wolnej jazdy, sprawianie materyału użytkowego i części inwentarzowych, z wyjątkiem środków ruchu, szyn i urządzeń maszynowych — a to w zakresie sumy kontraktowej 150.000 złr. przy publicznej konkurencyi. W innych wypadkach tylko do 30.000 złr. W razie równych warunków, należy dać pierwszeństwo materyałom z własnego okręgu.

W obrębie większych dyrekcyj ruchu mogą wedle potrzeby być ustanawiane inspektoraty kolejowe, których zakres działania wedle potrzeb służbowych określi minister handlu.

Rozporządzenie powyższe obowiązuje od 1 stycznia 1892 r.

Przegląd polityczny.

Kraków, 24 grudnia.

Według telegramu, który w tej chwili otrzymujemy, urzędowa *Wiener Ztg.* ogłasza nominacyę hr. Kuenburga na ministra bez teki. Powołanie jednego z członków klubu zjednoczonej lewicy jest zatem faktem dokonanym. *N. Fr. Presse* podała wczoraj przed rzeczywistą nominacyą w naczelnym artykule komentarz, z którego dowiadujemy się, iż układy z lewicą toczyły się jeszcze w czasie wiosennej sesyi Rady państwa i wtedy już hr. Taaffe miał przyrzec, iż jeden z członków klubu powołanym będzie do gabinetu. Obecnie przy nowem nawiązaniu układów lewica wymieniła jako kandydata p. Plenera; prezydent rady ministrów uchylił jednak tę kandydaturę w sposób uprzejmy, lecz stanowczy. Wskutek tego przedstawiono kandydaturę obecnego ministra.

N. Fr. Presse oświadcza, że klub zjednoczonej lewicy niemieckiej nie przyjął wskutek nominacyi nowego ministra żadnych zobowiązań wobec rządu i nie związał się z żadną większością parlamentarną. Nowy minister według wymienionego dziennika będzie tylko reprezentantem klubu lewicy w radzie korony i strzedz będzie jej interesów. Nominacya nie ma również mieć żadnego wpływu na utworzenie większości parlamentarnej. *N. Fr. Presse* omawia wreszcie pogłoskę o usunięciu się Plenera z życia publicznego i zajęciu przez niego stanowiska prezydenta najwyższego trybunału obrachunkowego, i lubo nie potwierdza tej wiadomości, jednak nie zaprzecza jej. Ze źródła kompetentnego dowiadujemy się, że o ponowieniu układów z lewicą w bieżącej sesyi i o jej rezultacie Koło polskie nic nie wiedziało. Na fakt, dający lewicy nie mały wpływ na tok spraw publicznych, nie wywarło zatem Koło polskie żadnego wpływu i nie miało nawet sposobności wypowiedzieć swego zapatrywania na zmiany bądź, co bądź, pełne znaczenia.

W sprawie zniesienia rozporządzeń banicyjnych w zaborze pruskim.

W łonie ministerstwa pruskiego odbywają się obecnie obrady w sprawie sprowadzania robotników z Galicyi i Królestwa Polskiego, i niebawem ma być zarządzona ankieta celem zbadania ubytku robotników krajowych przez wychodźtwo, oraz napływu nowych z zagranicy. Powodem do podjęcia ankiety — wielki brak sił roboczych we wszystkich dzielnicach polskich. Wszystkie interesowane koła pracodawców w dzielnicach wschodnich, a zwłaszcza koła rolnicze i przemysłowe, dały temu wyraz na licznych zebraniach, i to zarówno w W. Ks. Poznańskiem, jak na Śląsku, a zwłaszcza w Prusach Zachodnich i Prusach Wschodnich.

Petycye, nadesłane do ministerstwa i do sejmu pruskiego, zwracają również uwagę na brak robotników i na coraz smutniejsze położenie rolnictwa, wreszcie zaznaczają, że obawy, jakie w pewnych kołach żywiono co do prowadzenia się robotników zagranicznych, okazały się bezpodstawnemi. Wszystkie petycye prowadzą do jednego wniosku, iż w interesie rolnictwa i przemysłu byłoby nader pożądanem, ażeby rząd pozwolił na [illegible]e o[illegible]anie się w Prusach robo[illegible] [illegible] Galicyi i Królestwa Polskiego.

[illegible] tu wypada, że jako petenci nie występują bynajmniej sami tylko Polacy, lecz przeważnie obywatele i przemysłowcy niemieccy, którzy kierują się wyłącznie względami natury ekonomicznej.

Ale czasby było uznać, że i pod względem politycznym rozporządzenia banicyjne były środkiem chybionym; podkopały one tylko gospodarstwo dzielnic wschodnich, a korzyści nawet ze stanowiska niemieckiego żadnej nie przyniosły. Wobec tego nawet ze strony niemieckiej wyrażono życzenie, aby rząd, który zerwał z taktyką ks. Bismarka, opartą na ślepej nienawiści, zniósł wreszcie zupełnie rozporządzenia banicyjne, jako szkodliwe i bezcelowe.

Watykan i Rosya.

Rzymski korespondent *Polit. Corresp.* podaje następujące szczegóły o obecnym stosunku Rosyi do Watykanu:

Skutkiem zamianowania dotychczasowego biskupa żytomirskiego księdza Kozłowskiego arcybiskupem mohilewskim i metropolitą wszystkich kościołów katolickich w cesarstwie, rozwiązaną została pomiędzy Rosyą a Watykanem kwestya ważna, która długo pozostawała w zawieszeniu. Porozumienie co do osobistości, mającej być powołaną na arcybiskupstwo mohilewskie, właściwie już od pewnego czasu było osiągniętem; pomimo tego stolica mohilewska nie mogła zostać obsadzoną, ponieważ rząd rosyjski zaproponował równocześnie swego kandydata na biskupstwo żytomierskie i nalegał, ażeby obie nominacye równocześnie ogłoszone zostały. Otóż Watykan nie chciał przyjąć kandydata rządu rosyjskiego, i skutkiem tego sprawa obsadzenia stolicy arcybiskupiej doznała zwłoki, aż wreszcie w Petersburgu odstąpiono od warunku równoczesnego obsadzenia biskupstwa żytomierskiego. Obsadzenie tego biskupstwa pozostaje zatem jeszcze niezałatwionem, i w sprawie tej toczyć się będą dalej rokowania pomiędzy Rosyą a Watykanem.

Od czasu, kiedy się rozpoczęła oficyalna misya p. Izwolskiego w Rzymie, — a trwa ona już trzy lata — nominacya ks. Kozłowskiego jest trzecią z rzędu nominacyą biskupią w carstwie rosyjskiem. Przy tej sposobności korespondent *Pol. Corresp.* nadmienia że p. Izwolski, o ile chodzi o jego osobę, był zawsze ożywiony jaknajlepszemi pojednawczemi chęciami wobec Watykanu, i jeżeli pomimo tego działanie jego wykazuje dotąd tak małe pozytywne rezultaty, jest to skutkiem surowych zleceń, udzielanych mu z Petersburga, a zakreślających życzeniom Watykanu nader ciasne granice.

Z opłatkiem.

„Bóg się rodzi, moc truchleje" — zabrzmi niebawem tradycyjna polska kolęda i rozwieje na chwilę ciężkie codziennych trosk chmury. I smutek zniknie z czoła kłopotami zoranego i roztają na chwilę serca zmrożone nieszczęściami i silniejszem, raźniejszem zabiją tętnem, — i „przy opłatku" — jak zwyczaj każe — składane będą życzenia lepszej, pomyślniejszej, jaśniejszej doli.

„Bóg się rodzi, moc truchleje": wiarą potężna pieśń ludu popłynie po całej ziemi naszej, wiekowemi przygnębionej klęskami, napełni zamożnych domy i chaty wieśniacze, ogrzeje nawet na chwilę zimnice Sybiru, tej nowoczesnej Golgoty męczeństwa polskiego, i na całym świecie, gdziekolwiek srogim losem rzucona garstka rodaków w krwawym pocie dobija się chleba powszedniego, pieśń ta połączy serca polskie myślą o dalekiej Ojczyźnie, da im wytchnienie i sił doda i napoi otuchą i wiarą...

„Bóg się rodzi, moc truchleje" — a pod wpływem tej pieśni rozradują się serca, bijące wolnością i do wolności wzdychające, bo ona zwiastuje tryumf najwznioślejszych ideałów, świt prawdy i i światła, przed którem pierzchnąć musi i runąć dzika przemoc, oparta na gwałtach, ciemnocie i fałszu. I oto, zaledwie pierwsze przedzierają się promienie wschodzącego słońca, zaledwie sprawiedliwość budzić się zaczyna, a już śmiertelna trwoga ogarnia wszystkie nieprawe moce i olbrzymy świata, frymarczący wolnością ludów, truchleją w poczuciu, że ich czas minął, truchleją na myśl, że bezkarne ich panowanie dobiega kresu i nadejdzie chwila strasznego obrachunku i położy koniec niesprawiedliwości, fałszom i gwałtom.

Dzieje świata całego dają wyraz tej odwiecznej prawdzie, a narody, jak nasz ujarzmione, żyć mogą jedynie niezłomną wiarą w potęgę sprawiedliwości i światła, i otuchą że nemezys dziejowa, nemezys karząca nadejdzie kiedyś, bo nadejść musi.

Ta wiara jedynie i nas Polaków przy życiu utrzymuje, pomimo stuletniej niewoli, pomimo chmurnego zawsze „dzisiaj", a niepewnego „jutra".

I bylibyśmy już dawno ulegli sprzymierzonym potęgom i „mocom", gdyby w sercach naszych nie tlała nieustannie święta iskra miłości ojczyzny, gdyby nie budziło nas do życia silne poczucie nieprzedawnionych praw naszych i ta niezachwiana wiara, że i dla naszego narodu Bóg sprawiedliwości i prawdy zrodzić się kiedyś musi na nowo w sercu ludzkości, że prędzej, czy później struchleje moc tyranów i runie, i zejść musi dla nas słońce wolności i szczęścia!

Dziś przeto — gdy każdy rok coraz cięższe sprowadza na nas próby, i gdy zda się nadziei nawet mieć nie wolno, by się ucisk i niewola skończyły — nie traćmy z oka tej świetlanej gwiazdy, nie upadajmy, nie omdlewajmy w walce na chwilę: otrząśnijmy się z letargu chorobliwej bezczynności, zatlijmy w sercach naszych ogień pracy i czynu, pamiętajmy o nędzy ludu naszego, w najczarniejszych chwilach życia niechaj nam przyświeca myśl o tej, dla której ojcowie nasi nie wahali się składać krew, mienie i życie w ofierze, a zabrzmi wreszcie pieśń nie nadziei, ale rzeczywistości, pieśń tryumfu i wesela „Bóg się zrodził, moc struchlała!"

Kronika.

Kraków, 24 grudnia

Następny numer naszego pisma, z powodu trzech dni świąt, wyjdzie dopiero w poniedziałek o zwykłej porze.

Budowa teatru w Krakowie. Niespodziewanie szybko stanął gmach naszego nowego teatru „pod dachem" i dzisiaj już po jednym sezonie budowlanym sądzić można, jak będzie wyglądał nowy ten nasz przybytek sztuki po zupełnem ukończeniu. — Wszystkie mury, tak zewnętrzne, jak i wewnętrzne ukończono, — wszystko w całym budynku zasklepiono, nie wyjmując ogromnego plafonu sali widzów, który przy oświetleniu gazowem i ogrzewaniu kaloriferami zaczęto już dekorować.

W całym budynku znajdują się już kamienne schody, tak że można obejrzeć go bezpiecznie, nie potrzebując rusztowań.

Pokrycie dachów blachą cynkową ukończone zupełnie, dach kopułowy nad audytoryum otrzyma zaraz z wiosną bogate i ozdobne pokrycie, tymczasem pokryto audytoryum papą, która pod pokryciem blaszanem na zawsze pozostawioną zostanie. Wszystkie roboty rzeźbiarskie są gotowe i większą ich część już stale osadzono, tak np. wszystkie oryginalne i charaktorystyczne maskarony, dłuta p. Mieczysława Zawiejskiego.

W pracowniach p. Błotnickiego i prof. Dauna znajdują się grupy allegoryczne, prace bardzo piękne, które zdobić będą frontowe pylony budynku i osadzone zostaną zaraz po Nowym Roku. Kierownik budowy architekt Jan Zawiejski oświadczył nam, że jeżeli tak, jak dotąd, wszyscy nasi przedsiębiorcy wytrwają w pracy i pilności, to na rok przyszły w jesieni teatr może być zupełnie ukończony, to znaczy o pół roku wcześniej, aniżeli p. Zawiejski kontraktem się zobowiązał.

Nie możemy o tem wątpić, bo mamy naoczne dowody, że tego roku wiele więcej zrobiono, jak było postanowionem, a następnie nie możemy zamilczeć, że p. Jan Zawiejski dał dowody energii, wytrwałości, zapobiegliwości w kierowaniu budową, która mu zaszczyt przynieść może — i dobre jego imię i sławę w kraju naszym utrwalić, — przytem postępowaniem swem zyskał zaufanie komitetu budowy i inspektoratu. Od chwili rozpoczęcia budowy po dziś dzień nie zaszło żadne nieporozumienie, owszem wszyscy na budowie pracują w harmonii, zgodzie i wzajemnem koleżeńskiem popieraniu się, a wyznajemy, że z przyjemnością takie fakta notujemy.

Pp. Miarczyński, Kosydarski, Markus, Szczyrbuła, Kulesza, Putz, Kosobudzcy, Oraczewski, dalej M. Zawiejski, Daun, Błotnicki, sami Krakowiacy, wywiązali się ze swych zadań bardzo dobrze. P. Gidl, który wobec odmownych odpowiedzi krajowych fabrykantów żelaznych konstrukcyj, objął te roboty, wykonał je wzorowo, tanio i przed kontraktowym terminem.

Roboty stolarskie mają otrzymać pp. Muranyi, ślusarskie p. Gramatyka, również tutejsi przemysłowcy.

Nie rozumiemy tedy kazań i morałów niektórych zamiejscowych dzienników, którzy, nie wiedząc, jak się rzeczy mają, hałasują i napominają komitet budowy, ba nawet gminę i Sejm do „urwania łba hydrze", popierającej przemysł obcy!

Pierwsi zawsze stoimy na straży naszego przemysłu krajowego, ale z całem zaufaniem przyglądamy się budowie teatru krakowskiego, a rzetelne informacye czerpiemy od inspektora budownictwa W. Wdowiszewskiego, który z sumiennością spełnia swój urzędowy obowiązek czuwania nad przebiegiem tej budowy.

Budowy gmachów dla szkół średnich w Krakowie oczekują z upragnieniem wszyscy ci, których dzieci uczęszczają obecnie do tych szkół, mieszczących się prawie bez wyjątku w lokalach, nie odpowiadających najpierwotniejszym wymaganiom sanitarnym. Przed miesiącem mniej więcej donieśliśmy, iż ministeryum oświaty zgodziło się na ofertę gminy, co do budowy tych gmachów, — byłoby wielce pożądanem, aby sprawa została przyspieszoną i aby raz wreszcie wyszła ze stadyum rokowań, w nieskończoność się przeciągających.

P. Feliks Grzybowski, koncepista I klasy w ministerstwie spraw zagranicznych, mianowany został sekretarzem ministeryalnym przy temże ministerstwie.

Zmarli. Włodzimierz Stebelski, znany w kraju całym publicysta i poeta-satyryk, odebrał sobie życie w Warszawie. *Kuryer Warszawski* z daty dnia wczorajszego przynosi o zgonie jego następującą wiadomość: Dziś rano w mieszkaniu przy ulicy Niecałej został znaleziony bez życia ś. p. Włodzimierz Stebelski, poeta i literat. Obdarzony wielkim talentem, urodzony w r. 1844, od najmłodszych lat poświęcał się zawodowi literackiemu. Jego poemat p. t. „Roman Zero", w stylu Hejnowskim pisany, pełen pesymistycznych poglądów na życie, zwrócił na siebie uwagę i krytyka rokowała młodemu talentowi wielką przyszłość. Stało się przecież inaczej. Poeta wpadł w wir życia gorączkowego, szukał dla siebie wrażeń i podniety, a to wszystko trapiło niespokojny organizm. Rozpraszając się w różnych kierunkach, jako publicysta, poeta, nowelista i satyryk-humorysta, Stebelski wciąż zapadał na zdrowiu i tylko po kilkakrotnie przeprowadzonej kuracyi w Fürstenhofie, pod kierunkiem surowego hydropaty Czerwińskiego, powracał do sił, aby je znów później rujnować. Od pięciu lat osiedliwszy się na stałe w Warszawie, początkowo był stałym członkiem redakcyi *Kuryera Codziennego*, później objął kierunek literacki *Kolców*. Ostatnia większa praca Stebelskiego ukazała się w *Wędrowcu*, a mianowicie poemat p. t. „Delirium tremens".

Krakowscy stolarze. W ostatnim numerze krakowskiego *Czasopisma technicznego* znajdujemy artykuł pod powyższym tytułem, przedstawiający historyczny rozwój rękodzieła stolarskiego w Krakowie od roku 1419, w którym nadano krakowskim stolarzom pierwszy przywilej, aż po dzień dzisiejszy. — Cech stolarzy uzyskał w roku 1547 potwierdzenie swych statutów od króla Zygmunta I. W końcu XV go stulecia Rada oddała cechowi stolarskiemu obronę jednej z głównych baszt miasta. Jest to baszta okrągła, do dnia dzisiejszego istniejąca, tuż z prawej strony bramy Floryańskiej (wjeżdżając do miasta) położona.

„Stolarze krakowscy — czytamy w *Czasopiśmie technicznem* — byli liczni i zamożni. Z upadkiem Krakowa upadli stolarze i długo o nich słychać nie było. Po zajęciu kraju przez Austryaków, zaledwie dwie lub trzy nierozgłośne firmy stolarskie istniały, a raczej wegetowały. Dopiero od r. 1865 stosunki zaczęły zmieniać się na lepsze. Młodsza generacya zajrzała do zagranicznych warsztatów, rozglądnęła się po świecie, zwiedziła wystawy — i obecnie wyroby naszych stolarzy przekonywają ludność Krakowa, że o wiele są lepsze od tandetnych wiedeńskich. Kto znał stolarskie wyroby krakowskie przed 25 laty, ten z prawdziwie przyjemnem zdziwieniem wychodzi obecnie z warsztatów i składów mebli i przyznać musi, że smak wyrobu wzrósł do niewidzianej dotychczas miary.

„Zwiedzaliśmy niedawno wystawę nieustającą, jaką urządził Związek stolarzy krakowskich przy ulicy Floryańskiej i z przyjemnością stwierdzamy, że oglądane i badane przez nas wyroby pp. Burzyńskiego, Grabowskiego, Karnasiewicza, Niedzielskiego, Odrzywolskiego, Olejaka, Otty, Stasińskiego, Wendorfa, Wiśniewskiego i Wojtycha, sprawiły nam prawdziwą, bo niespodziewaną przyjemność. We wszystkich wystawionych tam meblach widać zrozumienie natury każdego odnośnie do jego celu i przeznaczenia; widać usiłowanie stworzenia rzeczy stylowej, od ogólnego zarysu aż do przeprowadzenia szczegółów, które nieraz wykonane są z benedyktyńską cierpliwością.

„Oprócz wystawy Związku stolarzy, poznaliśmy także warsztaty pod godłem „Nadzieja", skład Duwala, pracownię Romana Chmurskiego, Ligięzów i fabrykę braci Muranyich, niedawno założoną, i wszędzie uderzyła nas dokładność roboty, połączona z wytworniejszym gustem.

„O tym naszym stolarskim przemyśle, zwłaszcza meblowym, rokujemy sobie dobrze i piękną zapowiadamy mu przyszłość, jeśli tylko stolarze nasi na obranej drodze wytrwają".

Konfiskata. Z polecenia c. k. prokuratoryi w Krakowie skonfiskowany został cały nakład świeżo wydanej w drukarni p. W. Korneckiego broszury p. t. „Przyczyny upadku Polski", napisanej przez Edwarda Bogusławskiego.

Loterya gospodarska jak co roku tak i wczoraj odbyła się przy nader licznym udziale publiczności. Pokup losów był tak wielki, że w przeciągu niespełna godziny rozebrano wszystkie. Wygrywających szczęśliwców było nie wielu, liczny natomiast zastęp zawiedzionych i niezadowolonych, którzy jak zwykle sarkali na niechęć fortuny. Podczas loteryi przygrywała orkiestra „Harmonii". Wobec powodzenia, jakie towarzyszyło zabawie, zapewne i skarbona Towarzystwa szpitalnego św. Kazimierza wspomoże się znaczniejszą kwotą.

Uczta wigilijna „Sokołów" krakowskich odbyła się u nas wczoraj przy bardzo licznym udziale uczestników. Po tradycyjnem łamaniu się opłatkiem przeszło 200 „Sokołów" zasiadło do stołów w podkowę ustawionych.

Pierwszy toast na cześć posłów Asnyka i Sokołowskiego wniósł prezes dr. Styczeń, podnosząc, że jak w Pradze na zjeździe „Sokołów" posłowie w jednym stawali szeregu z drużyną sokolą, tak i nasi posłowie należą do pierwszych, którzy stanęli w szeregach naszego Towarzystwa. W odpowiedzi na to zabrał głos poseł Asnyk, wznosząc toast na pomyślny rozwój krakowskiego „Sokoła", poseł Sokołowski pił na solidarność wszystkich „Sokołów" polskich; dr. Styczeń wniósł z kolei zdrowie wiceprezesa dra Cybulskiego i p. Michała Bałuckiego, jako pierwszego prezesa krakowskiego „Sokoła". Dr. Cybulski wniósł zdrowie grona nauczycieli, p. Michał Bałucki podniósł zasługi radcy sądowego Szurka i prof. Czubka około rozwoju Towarzystwa i wniósł ich zdrowie. Szereg toastów zakończył dr. Boroński staropolskiem „Kochajmy się".

Serdeczny nastrój i swoboda panowały wśród uczestników tego zebrania od początku do końca. Do urozmaicenia przyczyniła się obficie zaopatrzona loterya gwiazdkowa, która każdego niemal z uczestników darzyła wygraną. Dzielny chór „Sokoła" uprzyjemniał wieczór śpiewaniem kolend.

Wypadki w mieście. Wczoraj o godz. $8^1/_2$ wieczorem zawiadomiono telefonicznie z filii lampiarzy gazowych straż pożarną o wybuchu pożaru w szynku Tillesa przy ulicy Grodzkiej. Wraz ze strażą pożarną wyruszyło pogotowie Towarzystwa ratunkowego. Wskutek nieostrożnego obchodzenia się ze światłem przy przenoszeniu spirytualiów z piwnicy zapalił się spirytus i 6 ludzi uległo oparzeniu. Straż ratunkowa opatrzyła oparzonych, z których stróż domu Tillesa prawie w $^2/_3$ ciała był silnie poparzony i tegoż odwieziono do szpitala św. Łazarza.

W nocy o godz. 2 wyruszyło pogotowie medyków, na wezwanie p. Tob. Grossa, na ulicę Miodową l. 27 do zaczadzonego Wojciecha Świątka, parobka, lat 24 liczącego, i nieprzytomnego przywróciło do życia.

Wczoraj w południe zawezwano straż ratunkową do kobiety zemdlonej w gmachu Arcybractwa Miłosierdzia.

Wczoraj również zgłosił się na stacyę ratunk[illegible] chłopiec szewski Marcin Sroka, pokąsany przez [illegible]. Ranę wielkości talara opatrzono i od[illegible]iednie środki policyjno sanitarne zarządzono.

Z dziedziny geografii. Jeden z przyjaciół naszego pisma nadesłał nam kopertę listową, [illegible] znaczek pocztowy przestemplowany został [illegible] stampilą Andrychau i zapytuje: gdzie mianowicie leży owa miejscowość, gdyż w podręcznikach geografii krajowej znane jest tylko miasto Andrychów. Świetna krajowa dyrekcya poczt mogłaby na to zapytanie dać odpowiedź.

Stosunki w Królestwie Polskiem. Z guberuii lubelskiej donoszą: „Zmiana sądownictwa w Polsce rosyjskiej i zajmowanie się policyi głównie propagandą urzędowego prawosławia, mnoży złodziei i rozbójników w przerażający sposób. Na początku ostatniego tygodnia zamordowali w lesie Wojsławice obywatela p. Białkowskiego z Honiatyczek, ojca i jedyną podporę licznej rodziny, i ograbili go z wszystkiego, co miał na sobie i 400 rubli. Drugim podobnym wypadkiem było napadnięcie Rabinówki, folwarku pod Tomaszowem. Pomimo całych starań zamazania sprawy, nowy sędzia śledczy z Tomaszowa zdołał trafem tylko wykryć, że to wojskowi rosyjscy przebrani, napad w celu grabieży i morderstwo popełnili. Byli to kozacy z rozłożonego pod Tomaszowem pułku. Fakta te zdarzyły się w bieżącym miesiącu, a za prawdziwość ich ręczę".

Ze wszystkich kwiatów najmodniejszemi są obecnie chryzantemy, czyli jastruny, to też ogrodnicy wszystkich miast europejskich ubiegają się o pierwszeństwo w wystawianiu najliczniejszych i najwspanialszych ich odmian. Przyznać należy, że ogrodnicy paryscy i londyńscy trzymają prym w tym względzie. Wystawa chryzantemów w Paryżu, zamknięta przed kilku dniami, była wspaniałą. — Wszystkie jednakże wystawy europejskie tych kwiatów nie mogą nam dać nawet wyobrażenia o wystawach, urządzonych w rodzinnym ich kraju w Japonii. W Jeddo wystawa chryzantemów odbywa się corocznie w cesarskich pałacach i ogrodach pod rozpiętemi namiotami z wspaniałych materyj. — Kwiaty tej rośliny są tak olbrzymie, że przechodzą wielkością nasze największe słoneczniki — nie mówiąc już o różnorodnych kształtach i barwie.

Przykazania higieniczne. Jeden z dzienników angielskich zamieszcza dla nauki swych czytelników następujących dziesięć przykazań, których przestrzeganie może być najracyonalniejszym sposobem zapobiegania chorobom i ochrony zdrowia. — Oto owe przykazania: 1) Nigdy nie czytać na ulicy, ani w jakichkolwiek wozach, czy powozach trzęsących 2) Nie dłubać w zębach szpilką, ani żadnem narzędziem ostrem. 3) Starać się używać pokarmu mięszanego. 4) Nigdy nie jeść i nie pić rzeczy gorących lub zimnych, jednych zaraz po drugich. 5) Nigdy nie przeładowywać żołądka. 6) Pamiętać zawsze, by podczas jakiejkolwiek roboty, czytania i pisania światło padało prosto i w dostatecznej ilości. 7) Nigdy nie pracować umysłowo lub fizycznie dłużej nad 8 godzin na dobę. 8) Pamiętać, by mieszkanie było jasne i miało dobre powietrze. 9) Nigdy nie spać mniej nad ośm godzin. 10) Nigdy nie pozostawiać umysłu w bezczynności. Dziennik ów zapewnia, że kto będzie zachowywał te dziesięć przykazań, zapomni o istnieniu na świecie aptek i lekarstw.

---

chce u ojca biedy nie miał. A jak dostał mleka trochę, albo chleba kawał, to zawył radośnie, nie jak człowiek, ale nieprzymierzając, jak ten pies na łańcuchu. Ludzie we wsi nazywali go waryatem; a jak mu chłopaki dokuczyli, a Szymek śniegiem go obrzucił, to *profesorka* też powiedziała: — Dajcie mu pokój dzieci, to *idyota!* — [illegible] jak powiedział ten młody pan ze szkiełkiem w oku.

On idyota? Mój Boże, przecie on po żebrach do miasta nie przyszedł, jeno chciał drzewko sprzedać a książkę z królami sobie kupić. Ano, poczeka jeszcze.

Więc czekał, ale śpiewać przestał. Wstyd go jakiś ogarnął, że go idyotą nazwali.

A towarzysze jego starsi spoglądają nań, i śmieją się z niego. Jest z czego! Żal [illegible] serce dziecka. Za co? przecie nie prosi, ani [illegible] czy, jak nie Macieja. Ze zapłatą? Toć [illegible] jak nie między *Niemcami* ale między swoimi.

Słonko zaszło, a miast o zmroku wracać [illegible] smutny wracał na Wiśle...

I po drodze, zamiast myśleć o tej książce upragnionej, której wyrzec się musiał, myślał o tym panu ślicznym, co wyśmiał że śmiechem „patryota", czy jak tam, i o tym panu, co myślał, że on taki sam waryat jak ten ze wsi.

Ciemno już było, gdy stanął nad Wisłą. Więc pobiegł, jak gdyby go [illegible] przeszłość. Po kości grzęznął w śniegu, a ciągnął saneczki za sobą. Z dala widział blade światełka chałup. Matuś i dziadek pewno ciekawi, czy sprzedał, a i Szymek czeka go w chałupie... A otóż i on! tu na drugim brzegu.

— O rety! — zawołał, widząc drzewko na saneczkach. — Toś nie kupili?

— Nie, nie kupili, ale wyśmiali!

Łzy od kilku godzin powstrzymywane, potoczyły się po zmarzniętej twarzyczce.

Regina Pniowerówna.

KONIEC.

Repertoar teatru krakowskiego.

W sobotę 26 grudnia: Po raz 133-ci „Kościuszko pod Racławicami", obraz historyczny ze śpiewami w 5 odsłonach Wł. L. Anczyca.

W niedzielę 27 grudnia, „Robert i Bertrand, czyli Dwaj złodzieje", krotochwila ze śpiewami w 5 odsłonach Wł. L. Anczyca.

We wtorek 29 grudnia: Po raz piąty „Pierwszy bal", komedya w 1 akcie Zygmunta Przybylskiego; po raz trzeci „Guzik", komedya w 1 akcie Maryana Gawalewicza; po raz czwarty „Reprezentant domu Miller i spółka", komedya w 1 akcie Wł. hr. Koziebrodzkiego.

We czwartek 31 grudnia: (Dziesiąte czwartkowe przedstawienie) „Dom otwarty", komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego.

W piątek 1 stycznia: (Wznowienie) „Karpaccy górale" dramat ze śpiewami w 5 aktach Józefa Korzeniowskiego.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

— **Tygodnika Ilustrowanego** numer gwiazdkowy z prześlicznemi, przygotowanemi na święta kompozycyami Piotra Stachiewicza, nadszedł dziś do Krakowa. *Tygodnik* rozpoczął dawać ilustracye kolorowe, które efektownie zostały odbite.

— „**Ananas**", humorystyczny kalendarz, od lat ośmiu wydawany w Krakowie nakładem p. Kazimierza Bartoszewicza, wyszedł właśnie z druku. Oprócz prac pióra wydawcy, w kalendarzu znajdują się cenne utwory ś. p. Bartelsa, oraz humorystyczne drobiazgi Mucharskiego, Jordana, Cyrusa i t. d. Część obrazkowa zawiera liczne rysunki mało dotąd znanego w Galicyi znakomitego humorysty warszawskiego Fr. Kostrzewskiego. Z innych artystów naszych figurują w *Ananasie*: Kossak, Pillati, Kruszewski, Bieszczad, Wodziński, ś. p. Chorążkiewicz, Ichnowski i t. d. *Ananas* obecnie wydany jest ozdobniej i wolny od tak zwanych „brodawek", które w poprzednich latach nietylko że go mogły szpecić, lecz i wpływać na zmianę jego smaku w ujemnym kierunku. Format wydawnictwa również uległ zmianie, przypomina bowiem warszawskie tego rodzaju kalendarze, które publiczność tamtejsza rozchwytywać zwykła, aby za tanie pieniądze szczerze się uśmiać.

Spostrzeżenia meteorologiczne
(podług obserwatoryum krakowskiego)
Kraków, dnia 24 grudnia.

	wczoraj g. 10 w.	dziś g. 6 rano	dziś g. 2 pop.
Ciśnienie powietrza (sprowadz. do 0)	768·2 mm	761·2 mm	—
Temperatura w stopniach Celsiusza	0°,0	—0°,4	—
Kierunek i moc wiatru (0 = cisza, 10 burza)	WSW 1	WSW 1	—
Wilgotność względna (w odsetkach)	92%	96%	—
Stan nieba (0 pog. 10 zup. pochm.)	10	10	—

Telegramy „Nowej Reformy".

(*Telegramy Biura Korespondencyjnego.*)

Wiedeń, 24 grudnia. *Wiener Ztg.* ogłasza odręczne pismo cesarza, mianujące hr. Kuenburga ministrem.

Wiedeń, 24 grudnia. Dzienniki wiedeńskie powitały nominacyę hr. Kuenburga jednomyślnie i życzliwie.

Fremdenblatt rozstrząsając znaczenie tej nominacyi pisze, iż zjednoczona lewica nie rozbraja się, ale dopóki Kuenburg pozostanie w gabinecie, dopóty nie może przyjść do zatargów z rządem, dopóty trwać będzie poręczone parlamentarne zawieszenie broni. Tenże dziennik zbija zarazem zapatrywanie *Neue Fr. Presse*, która Kuenburga nazwała stróżem liberalizmu a wrot gabinetu Taaffego, bo osoba Kuenburga jest za poważna do takiej tylko roli, — nowy minister bowiem będzie miał udział we wszystkich aktach rządu i w całej pełni.

Presse, mówiąc o tej nominacyi, wskazuje na Koło polskie jako na czynnik, który w sprawie utworzenia większości ma prawo głos zabrać. Polacy nie wyobrażają sobie bynajmniej nowej większości jako organizacyę wojenną przeciw klubowi Hohenwarta. Dalej pisze ten dziennik, że teraz nie ma jeszcze żadnej wzajemnej łączności między stronnictwami umiarkowanemi; ale trzy umiarkowane grupy są w styczności z rządem, i tu zbiegają się teraz nitki, ale należy mieć nadzieję, że to powoli doprowadzi do bliższego złączenia się tych grup w zgodną większość.

Vaterland oświadcza, że z wyboru hr. Kuenburga jest zadowolona, bo on należy do odcienia więcej umiarkowanego, z którym na wszelki wypadek można się porozumieć co do przyszłego *modus vivendi*.

Wiedeń, 24 grudnia. Zarząd zjednoczonej lewicy rozesłał wczoraj dziennikom następujący komunikat:

Plener wyjaśniał przed gronem członków stronnictwa, co zarząd sądzi o mającem dokonać się wstąpieniu hr. Kuenburga do ministerstwa. Sprawa wstąpienia jednego członka zjednoczonej lewicy do gabinetu była omawiana już przy końcu sesyi letniej, a teraz przybrała formę pewniejszą.

Zarząd stronnictwa oświadczył się za tem, aby do gabinetu wstąpił kierownik stronnictwa, atoli rząd odrzekł na to, iż dogodzenie temu żądaniu jest niemożebne, bo nie da się pogodzić z jego stanowiskiem ponad stronnictwami. Zarząd stronnictwa porozumiał się wreszcie z prezesem gabinetu o wstąpienie do gabinetu takiego członka stronnictwa, który w wysokim stopniu posiada zaufanie stronnictwa, a ma być przedstawicielem politycznego stanowiska jego w łonie gabinetu. Osobiste przymioty i charakter polityczny hr. Kuenburga czynią go mężem zaufania stronnictwa zjednoczonej lewicy. Chociaż hr. Kuenburg wstępuje do gabinetu, mimo to stronnictwo nie zmienia swoich dawnych stosunków, zatrzymuje swoją swobodę działania i samoistność wobec rządu i innych stronnictw. — Prezes gabinetu przyjął do swej wiadomości, że zjednoczona lewica nie wiąże się z innemi stronnictwami w t. z. kartelową większość, lecz że w postanowieniach swoich kierować się będzie sądem przedmiotowym i rozwagą polityczną. — Nowy minister pozostanie członkiem stronnictwa, będzie przybywał na posiedzenia klubu i będzie łącznikiem między rządem a stronnictwem.

Grono członków stronnictwa, wysłuchawszy to sprawozdanie, wyraziło zgodę.

Zarząd stronnictwa przed zebraniem się Izby po świętach zwoła pełne zgromadzenie, złoży na niem sprawozdanie i zasięgnie opinii.

Budapeszt, 24 grudnia. Na konferencyi partyi liberalnej prezydent ministrów miał mowę, w której ze względu na rychłe wybory odwołuje się do patryotyzmu liberalnej partyi, która doprowadziła do równowagi finanse państwa, a która nadal postawić sobie powinna za główne zadanie wewnętrzną konsolidacyę kraju. Zgromadzeni bardzo życzliwie przyjęli mowę ministra.

Berlin, 24 grudnia. Umarł znany prawnik i pisarz polityczny Roenne.

Rzym, 24 lutego. Na wczorajszem przyjęciu kardynałów papież miał przemowę, w której wspomniał o kwestyi robotniczej i wyraził się, że po wydaniu znanej encykliki nie uważa jeszcze działalności na tem polu za ukończoną. Papież wyraził ubolewanie, że przeszkodzono mu w niegodny sposób przyjmować pielgrzymów-robotników, aby im wyłuszczyć zasady socyalne, jakie dyktuje religia chrześciańska. Wrogowie, którzy zaprzysięgli papiestwu nienawiść, przeszkadzają jego działalności socyalnej, ponieważ działalność ta podnosi chwałę i wpływ papiestwa; z tej samej pobudki wrogowie papiestwa oświadczają, że działalność stolicy apostolskiej w sprawie zniesienia niewolnictwa jest zbyteczną. Pomimo tego papiestwo prowadzić będzie dalej swe dzieło, swą misyę, jaką przeznaczyła mu Opatrzność, mianowicie misyę pokoju, zbawienia i odkupienia nawet dla tych, którzy walczą przeciwko papiestwu.

Rzym, 24 grudnia. Senat przyjął znaczną większością głosów „Catenaccio" oraz projekt dotyczący przedłużenia konwencyi o morskiej służbie pocztowej.

Konstantynopol, 24 grudnia. Ambasador francuski Cambre wręczył dn. 19 bm. W. Porcie notę, w której rozwodzi się nad tem, że Chadourne został wydalony bez poprzedniego porozumienia się i zażądania interwencyi konsulatu francuskiego w Sofii. W tem przeto tkwi przekroczenie traktatu między Francyą a Turcyą, który obowiązuje także Bułgaryę, jako nieodłączną część składową Turcyi.

Agent dyplomatyczny bułgarski Wulkowicz wręczył Saidowi-paszy notę rządu bułgarskiego, w której wykazano, że rząd bułgarski nie korespondował w tej sprawie z agentem francuskim w Sofii, ale minister spraw zagranicznych Grekow przed wydaleniem Chadournea rozmawiał osobiście z Lanelem i oświadczył mu, iż treść rozmowy może podać do wiadomości swego rządu. Lanel nie może zaprzeczyć, iż o tej sprawie odbyła się z nim rozmowa skoro znaną jest prawie wszystkim agentom dyplomatycznym w Sofii.

Po otrzymaniu tej noty W. Porta dała polecenie swemu komisarzowi w Sofii Reszid-bejowi, aby o tej sprawie przysłał referat.

W kołach rządowych tureckich przeważa to mniemanie, że rząd bułgarski popełnił błąd formalny, ale w rzeczy samej ma zupełną racyę.

Sofia 24 grudnia. Rozgłoszone w dziennikach wieści o rzekomym projekcie rządu bułgarskiego zaciągnięcia pożyczki dziesięciu milionów franków na ufortyfikowanie brzegów morza Czarnego — nie mają żadnej podstawy. Uchwalony przez Sobranie kredyt w kwocie siedmiu milionów przeznaczony jest na pokrycie wydatków, które w ciągu roku zrobiono.

Bukareszt, 24 grudnia. Senat i Izba poselska zostały rozwiązane. Nowe wybory odbędą się pomiędzy 1 a 7 lutego przyszłego roku. Nowy parlament zwołany zostanie na 28 lutego.

Waszyngton, 24 grudnia. Z trzynastu członków komisyi monetarnej, wybranej przez Izbę poselską, dziewięciu jest za, a tylko trzech przeciw wolności bicia monety srebrnej.

Komisya dochodów państwa, w większości swej demokratyczna, jest stanowczo przeciw rewizyi taryfy cłowej, ale oświadcza, iż zgodzi się na zmianę cła od niektórych towarów.

Buenos Ayres, 24 grudnia. Powodzie wyrządziły wielkie szkody w prowincyi Cordobio.

Odpowiedzialny Redaktor: *Dr. Adam Asnyk.*
Wydawca: *Dr. Lesław Boroński.*

Rubryka „Nadesłane" nie pochodzi od Redakcyi, która też żadnej odpowiedzialności za nią nie przyjmuje.

NADESŁANE.

Wieloletnie doświadczenie. W wypadkach osłabionego trawienia i braku apetytu, przeważnie przy wszystkich cierpieniach żołądka, dostarczają i zapewniają **prawdziwe proszki seidlickie Molla**, jak żaden inny środek, działanie wzmacniające żołądek i czyszczące krew. Cena pudełka 1 złr.

Codziennie rozsyła za pobraniem pocztowem A. MOLL, aptekarz i c. k. dostawca nadworny. Wiedeń, Tuchlauben Nr. 9. Uprasza się w składach materyałów w aptekach i handlach na prowincyi, **żądać wyraźnie preparatów Molla z marką ochronną i podpisem.** Główne składy w Galicyi znajdują się u firm podanych w części inseratowej dzisiejszego numeru na ostatniej stronnicy. (207)

Balowe materye jedwabne od 60 ct. do 6 złr. 65 ct. za metr, (około 300 różnych deseni i kolorów) wysela sztukami lub kawałkami franko i oclone skład fabryczny G. HENNEBERG (c. i k. dostawca nadworny), Zürich. Wzory odwrotnie, wysela się list z marką 10 ct.

Portrety naturalnej wielkości, odpowiednie jako ozdoba pokoju, jak również jako piękna i wieczna pamiątka szczególniej po zmarłych, wykonuje według każdej nadesłanej fotografii zakład artystyczny, egzystujący od r. 1879 w Wiedniu II, Grosse Pfarrgasse, 6, p. Siegfrieda Bodascher. Z powodu udatnych robót nadchodzą prawie codziennie uznania dla zakładu. (Inserat daje bliższe wkazówki) 3012

Groby królewskie, grób Mickiewicza i skarbiec w katedrze na Wawelu zwiedzać można w dni powszednie o godzinie 10, w niedziele i święta o godzinie 11½.

Grób zasłużonych (w krypcie na Skałce), **Grób Skargi** (w kościele św. Piotra), oraz skarbiec kościoła N. P. Maryi oglądać można w chwilach wolnych od nabożeństwa za zgłoszeniem się do zakrystyi.

Z drukarni Związkowej w Krakowie. Papier z fabryki braci Fiałkowskich w Białce. Odpowiedzialny rządca drukarni A. Szyjewski.

DODATEK LITERACKI

Kraków, Piątek 25 Grudnia 1891 roku.

TOWAR.

NOWELA.

przez

WALERYĘ MARRENÉ.

— Pierścionek zaręczynowy zwrócił. Wyobraź sobie, pierścionek zaręczynowy!

I położywszy mi przed oczy klejnot rodzinny, ciotka drżącemi rękoma obcierała oczy. Zerwałem się z miejsca.

— Pierścionek zaręczynowy zwrócił? A cóż Jania?

— Cóż? płacze. Alboż niema czego? Biedna sierota. Bez ojca, bez brata!

Ciotka gwałtownie obcierała oczy, z takim wyrazem, jakby to były oczy owego niewdzięcznika, co zadrwił sobie z jej córki.

— Cóż znowu! przecież ja jestem jej bratem. W każdym razie upomniałbym się o jej krzywdę... Ale cóż to wszystko ma znaczyć? Wszak niema tygodnia, jak się oświadczył?

— Trzy dni! trzy dni; jakby na żart, jakby na drwiny!..

— Jerzy do tego niezdolny! — zawołałem.

Broniłem przegranej sprawy; czułem to sam, bo przecież jednocześnie prawie odebrałem radosną wiadomość o zaręczynach Jani i lakoniczny list ciotki, zaklinający mnie na wszystkie świętości, ażebym bez zwłoki przybył do Grabowca. I tu spotkała mnie słowami:

— Pierścionek zaręczynowy zwrócił!

— Jerzy nie mógł tego zrobić bez powodu — szepnąłem z mniejszem już przekonaniem.

— Tegoby tylko brakowało, aby znalazł powód! — zawołała ciotka z wybuchem oburzenia, wśród którego zapomniała o łzach.

— Jakże się to stało?

— Jak? Patrz! czytaj!

Dobyła z kieszeni list, zmięty widocznie w chwili odebrania, czytany potem zapewne nieraz, i podała mi go z tragicznym giestem:

— Masz!

Mierzyła mnie wzrokiem, który mówił wyraźnie, że jeśli po przeczytaniu nie podzielę jej gniewu, zasłużę na takie same gromy, jak te, co spadły na Jerzego. Znałem ciotkę. Nie było z nią żartów. Na całym świecie jedna Jania robiła z nią co chciała.

„Panno Janino! — pisał Jerzy. — Przez te dni parę, w których pani raczyłaś mnie obdarzyć nadzieją od lania swej ręki, musiałem poróżnywać nas oboje, i niestety! poczyniłem sam w sobie smutne odkrycia. Następstwem ich jest przekonanie, że związek nasz byłby nieszczęściem dla pani. Pod żadnym względem godzien ciebie nie jestem. Oświadczyny moje były szaleństwem, które daruj mi, przez wzgląd, że potrafiłem powstrzymać się od stokroć większego, mogącego unieszczęśliwić cię bezpowrotnie. Piszę to z głęboką skruchą, przysięgając, że pozostanę niezmiennie twoim sługą, wielbicielem i najwierniejszym z przyjaciół. Jakąkolwiek przyczynę zerwania naszego krótkiego związku zechce pani podać, potwierdzę ją i przyjmuję z góry.“

Czytałem ten krótki list raz i drugi. W oczach stanął mi ten niepoprawny marzyciel Jerzy, który wszystkie gordyjskie węzły życia przecinał po swojemu i z największym w świecie spokojem popełniał czyny, potępione przez kodeks świata, skoro tylko sam uznawał je za słuszne.

— No i cóż? Cóż? — pytała ciotka z iskrzącemi się oczyma.

Szukałem słowa, któreby ją najmniej obraziło.

— Jerzy zawsze był szaleńcem! Sam to wyznaje.

Podskoczyła na krześle.

— Otóż to wy! Otóż to, zawsze jeden za drugim. Jerzy szaleńcem! Tylko szaleńcem! Na takie czyny są dobitniejsze wyrazy. To nikczemne! To podłe! Cóż się teraz stanie z moją biedną Janią? Obśmieszą ją, obmówią, będą palcami wytykać.

Tu zalała się łzami prawdziwemi.

— Ależ ciociu!

Przerwała mi groźnie:

— Co ty wiesz? Szaleństwo!... Tylko tyle!. Tymczasem: panna skompromitowana! Bo żeby nawet Jerzy rozesłał ten swój list po całym świecie, złożą go na karb jego szlachetności, powiedzą po cichu, że musiał mieć doskonałe powody zerwania.

— Gdyby kto miał cień podobnej myśli — zawołałem, — kulą mu ją przez mózg przepędzę.

— A tymczasem Jania za mąż nie pójdzie! Gotowa jeszcze zostać starą panną. A miała tak dobre partye. Moje biedne dziecko! Takie partye!

Tu już łzy przeszły w spazmatyczne łkanie. Powtarzała wśród nich: — moje biedne dziecko!.. takie partye!...

Chciałem ją uspokoić, ale właściwie nie mogłem zrozumieć, czy opłakiwała nieszczęścia córki, czy też owe doskonałe partye. Usiłowania moje były daremne.

— Daj mi pokój! Zostaw mnie! — powtarzała przerywanym głosem — ty tego nie zrozumiesz nigdy.

W podobnych razach należało przywołać Janię. Poszedłem jej szukać. Czyniłem to z niejakim niepokojem. Nuż znajdę rozpłakaną, spazmującą także. Cóż jej powiem? Kuzynek być powinien urzędowym pocieszycielem kuzynki. Ale pomiędzy mną a Janią „nigdy nic nie było“ i to bez przenośni żadnej, ani nawet tych „wiosennych marzeń zdradnych“, o których mówi piosenka. Nic nas z sobą nie łączyło.

Znałem ją od dziecka, chowaliśmy się prawie razem i wbrew sielankom nadokuczali sobie porządnie.

Była to najnieznośniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek ziemia nosiła. Uparta, złośliwa kapryśna! a nieporządna!

Ręce miała zawsze czerwone jak burak. To nic jeszcze. Nigdy w życiu nie widziałem takiego zbiorowiska sińców, zadrapań, odcisków, jak na tych rękach. Gdzie, u licha, mogła się tak kaleczyć? myślałem nad tem daremnie. Aż raz spostrzegłem, jak wypełzała z kotem na ramieniu z porzeczkowego klombu, cała zamazana czerwonemi jagodami, — bo już łakoma była straszliwie, — z podartą suknią, fartuszkiem na bakier z pończoszkami, opadniętemi na pięty... Ach! te pończochy! Bez obwarzanków na nóżkach Jani wcale wyobrazić ich sobie nie mogłem i zawsze podejrzywałem je pod długą suknią.

Teraz Jania była elegancką panną, lubiła zawracać głowę wszystkim chłopcom bez wyjątku. Motyl wykłuł się z gąsienicy. Ale ja zbyt długo znałem ją w gąsieniczych fazach i zawsze dla mnie brzydka gąsienica przeglądała z motyla.

Szukając ją, obszedłem cały dom. Cicho w nim było, jak makiem zasiał. Pokoje były wyświeżone, zapewne na przyjęcie tego narzeczonego, który zwrócił pierścionek. Posadzki lśniły jak lustro, nigdzie pyłku żadnego. świeżo uprane firanki poruszał gdzieniegdzie lekki czerwcowy powiew; wazony były pełne kwiatów.

Doszedłem do pokoju Jani. Drzwi były zamknięte, ale usłyszałem wewnątrz szmer bujającego się fotelu.

Zastukałem.

— To ja. Czy mogę wejść?

— Ach! to ty, Bolku — odparł głos. — Chodź chodź.

Nie było w nim śladu łez, — odetchnąłem. Odetchnąłem lżej jeszcze, gdym na nią spojrzał.

Daleko więcej zła i nadąsana, niż smutna. Siedziała na biegunowym fotelu. Przy niej na małym stoliku stała woda z sokiem, miseczka truskawek druga konfitur różanych, które bardzo lubiła i talerz świeżo upieczonych ciastek. Matka obstawiła ją tem wszystkiem, bo biedne dziecko martwi się, nie je i gotowe jeszcze schudnąć. Jania, bujając się, gryzła ciastka i raz wraz sięgała po truskawki.

— Ślicznie się twój przyjaciel spisał, — zawołała — Niema co mówić!

— Wytłumacz mi, co to znaczy, bo ja nic nie rozumiem.

Wzruszyła ramionami.

— Ja jeszcze mniej — szepnęła przez zaciśnięte zęby.

Nadała gwałtowny ruch fotelowi. Wbrew przysłowiu, że gniew piękności szkodzi, było jej z nim bardzo ładnie.

Okrągła, rumiana twarzyczka, grzesząca zwykle brakiem wyrazu, ożywiła się białe ręce, teraz zupełnie gładkie, spoczywały na poręczach, a końce pantofelków, wyglądające z pod błękitnego szlafroczka, miały urok nóżki kopciuszka. Musiałem przyznać, że wyglądała powabnie. Kuzynka miała taką minkę, jak gdyby czekała pocieszyciela. Bez wielkiej [illegible] bez szczypty nawet miło[illegible] teraz mnie przeznaczyła tę rolę. Ale jak na złość stanęły mi w myśli podrapane ręce i pończochy, opadłe na przydeptane pięty. Cała zalotność Jani spełzła na niczem.

Usiadłem przy niej spokojnie, jakby to mógł uczynić opiekun, mający dwa razy moje lata.

— Jakże się to stało? — zapytałem — powiedz mi wszystko.

Zasępiła się i wydęła wargi.

— Jakże się stać miało? Rzucił mnie. Rzucił, jak pierwszą lepszą. Mnie! mnie!..

Był tu domyślnik: mnie, tak piękną miłą, czarującą, mnie, która się wszystkim podobam. Szukała nawet potwierdzenia niewymówionych wyrazów w moich oczach. Nie znalazła zapewne, bo zawołała:

— Przecież nie on jeden się starał. Józef, Kazik, nawet Stanisław, czekali tylko słówka zachęty, ba, choćby uśmiechu. A już Karol, ten oświadczał mi się nieustannie.

Miałem, co do nieprzebranej liczby konkurentów mojej kuzynki, niejakie wątpliwości, ale słuchałem, nie przerywając.

— Myślisz, że nie!

Zerwała się z fotelu:

— Nie wierzysz? A ja ci przysięgam, że gdyby nie twój głupi Jerzy, byłabym dziś narzeczoną Karola. On nie postąpiłby tak niegodnie. Nie! nie!

Widziałem, że się zabiera na ulewę łez.

— Dlaczegóżeś go wybrała?

Chciałem tem pytaniem skierować jej myśl w inną stronę. Chodziło, wiedziałem o tem dobrze, o majątek. Jurek był przynajmniej dwa razy tak bogaty, jak Karol.

— Byłam głupia, ludzie mnie namówili — rzekła.

— Aby nie ja? Nie mięszam się między zakochanych — odparłem.

— Zakochanych! O, właśnie też!

— Przynajmniej serca twego nie zranił.

Zrozumiała popełnioną omyłkę.

— Ja nie o sobie mówiłam — odparła zaczerwieniona. — Chociaż, co mi tam. Przez niego rozpaczać nie będę i starą panną nie zostanę z pewnością!

Spojrzała na mnie z takim gniewem, iż pomyślałem, że doprawdy Jerzy nie głupio postąpił, zrywając. Ale dlaczegóż u licha się oświadczał? Była chwila ciszy, wśród które znów odezwało się kołysanie fotelu.

— I co my teraz ludziom powiemy! — wyrzekła Jania po długim namyśle.

— Wszakże zostawia ci pod tym względem zupełną swobodę.

— Jeszczeby też!

— Powiedz, że widząc jego dziwactwa sama się rozmyśliłaś... Wszyscy wiedzą, że jest dziwakiem.

— Trochę za prędko! A potem, cóż ztąd? Karol jeszcze będzie tryumfował.

— No! to zwal całą winę na Jerzego. Wszakże sam się do niej przyznaje.

Zdawała się zastanawiać głęboko. Machinalnie sięgnęła ręką po truskawki i jadła je powoli jedną po drugiej.

— Tak, jestem ofiarą! — wyrzekła wreszcie z westchnieniem, — gdybym miała brata, onby mnie pomścił!

A potem dodała, jakby chcąc wybadać ostatecznie, czego się po mnie spodziewać mogła:

— Gdybym miała brata, nikt nie śmiałby tak postąpić.

— Masz we mnie brata. Wiesz o tem dobrze i ludzie o tem wiedzą.

— A jednak?...

Zahaczyła się na tem słowie, wzrokiem zawisła na mnie. Czekała.

— Zobaczę się z Jerzym. Będę wiedział, co o tem sądzić.

Znowu zerwała się z miejsca:

— Więc jeszcze nie wiesz?

— Nie; zdaje mi się, że tu jest jakieś wielkie nieporozumienie. Ono może, ono powinno być wyjaśnione.

Wzruszyła ramionami i nie mówiła nic. Czuła doskonale, żem nie widział obrazy śmiertelnej w tem, co ją spotkało. Domyślała się, że w duchu byłem po stronie Jerzego. Ubodło ją to tak bardzo, iż nagle wybuchnęła łzami.

— Do djabła! — pomyślałem, — rzecz widać nieunikniona.

Z tem wszystkiem łez kobiecych nigdy znosić nie mogłem, mniejsza nawet jakiego były gatunku. Można było za ich pomocą robić ze mną, co kto chciał. Jania wiedziała o tem.

— Uspokój się — mówiłem, biorąc jej ręce,— zrobię, co w mojej mocy. Pójdę zaraz. Zobaczę go, zapytam. Czegóż chcesz więcej?

Łzy płynęły coraz gwałtowniej.

— Wyzwę go, zabiję! — mówiłem wściekły na nią, na niego, na siebie.

Teraz Jania szlochała.

— Jak Bóg na niebie zabiję! — wołałem, przyprowadzony do ostateczności.

Ręce jej ściskały moje, jakby uznawała we mnie swego rycerza, chciała nawet pasować mnie na niego, przyoblec swemi barwami.

Ha! rycerzem jej, być musiałem, ale barwy nosić, to co innego! na rycerza pasowało mnie samo pokrewieństwo. Wypadało mi stanąć po jej stronie nawet przeciw przyjacielowi, chociaż po cichu przyznawałem mu słuszność.

— No, dobrze, już dobrze; nie płacz tylko — mówiłem, choć byłem zły piekielnie.

W dodatku rozumiałem wartość jej łez. Skoro odejdę, powróci do swych truskawek i bujając się, będzie kombinowała, jak złapać Kazika, Józefa, Stanisława i wszystkich świętych z kalendarza.

Potrzebnie też Jerzy mięszał się w jej sprawy, — jeszcze, jak na złość, sam przywiozłem go do Grabowa! Gdyby nie ja, oni oboje możeby się nigdy nie spotkali, a przynajmniej nie zaręczyli tak niebacznie. Nie przeszło mi przez myśl, żeby się zawiązał pomiędzy nimi jakibądź bliższy stosunek. Jerzy i Jania! Wspaniały utopista i marna kokietka, wyrobiona inteligencya i głupia dziewczyna, szlachetne serce i wyrachowane samolubstwo! Związek potworny w zasadzie, a codzień spotykany w życiu. Jak gdyby sprzeczne żywioły przyciągały się na mocy jakiegoś tajemniczego prawa, niepojętego rozumowi.

Powinienem był przewidzieć, że ta wyborowa natura stanie się pastwą pospolitej. Cóż! Są rzeczy powszednie, które widzi się co dnia, które rzucają się w oczy, a jednak, gdy chodzi o bliskich, nigdy przez głowę nawet nie przejdą. Dopiero po spełnionym fakcie dziwimy się własnej ślepocie.

Myśląc o tem wszystkiem, jechałem gliniastą drogą, gdy usłyszałem tentent konia i głos tubalny:

— Jak Boga kocham, Bolek.

Przy mojej bryczce, na tęgim szpaku, prosty jak świeca, siedział barczysty Cześ, z miną tak rozradowaną, jak gdyby miał z czego. Śmiały się jego okrągłe oczy, zawiesiste wąsy, czerwone usta, białe zęby, rumiane policzki. Na jego wiosce więcej było długów, niż kłosów na polu, komornik i sekwestrator nie wychodzili z domu, a on nigdy nie tracił fantazyi, wszędzie go było pełno.

— Cóż, Bolek? Jedziesz skrzywiony, jak półtora nieszczęścia; kiwasz się na bryczce, niby żyd nad talmudem. A założę się, w głowie siedzi ci ten bestya, Jurek! Jużcić tego płazem puścić nie można.

On już wiedział! Wieści niektóre niepojętym sposobem rozchodzą się po świecie. Prawda, byliśmy zaledwie o kilkaset kroków od Grabowa, do którego zmierzał.

— Jurek? Cóż, Jurek, głupstwo zrobił!...

O mało nie wyrwało mi się, że głupstwem były oświadczyny. Niema co mówić, pięknie broniłem sprawy Jani. Całe szczęście, że mi Cześ przerwał w porę:

— Głupstwo? mało powiedzieć! Tak zażartować z panny i to z takiego domu! Znam jednak takich, którym teraz otucha wstąpi do serca. W każdym razie masz we mnie sekundanta, pamiętaj! A teraz: do widzenia!

I pogalopował dalej. Z pewnością śpieszył roznosić wieść po okolicy i komentować ją po swojemu.

— Czesiu! Czesiu! — wołałem

Już był daleko. Ręką tylko rzucił mi znak przyjazny. Ktoby go tam zresztą zmusił do milczenia! Takiej siły nie było na świecie, — choćby się nawet przysięgał, choćby dał najświętsze słowo. Tajemnica wyglądała mu z oczu, promieniała z oblicza.

Wreszcie nie było tu nawet tajemnicy. Ot, głupia sprawa i kwita! — —

Nazajutrz byłem u Jurka.

Przed gankiem: stara wyżlica, Nepta, wygrzewała się na słońcu, stary Jan drzemał w otwartem kredensowem oknie. Stare modrzewiowe ściany, krzepkie jeszcze, choć w ziemię zapadłe, tchnęły tak błogą ciszą, tak niezmąconym spokojem, iż doprawdy nie mogłem sobie wśród nich wyobrazić Jani. Onaby to wszystko do góry nogami poprzewracała.

Na turkot bryczki Nepta leniwie podniosła głowę, ziewnęła i jakby przypominając sobie obowiązek, szczeknęła raz i drugi, nie ruszając się z miejsca. Jan zerwał się, przetarł oczy i wybiegł na ganek.

— Pan w domu? — zapytałem.

— W domu, tylko co z łąk powrócił.

Łąki nadbrzeżne ciągnęły się jak okiem zajrzeć wkoło. Zdala widać było na nich białe koszule i jaskrawe szaty dziewcząt kopiących siano, bliżej w słońcu połyskiwały ostrza kos, słychać było szmer rytmiczny kładzionych pokosów trawy. Na górze widniał stóg na pół postawiony, a każdy podmuch wiatru niósł fale woni nieujętych, miodnych, upajających. Drgała w nich rozkosz istnienia całej przyrody i wraz z oddechem wpływała do piersi.

Nie było w niej żadnego dysonansu. Niebo było bez chmury, żadna zapowiedź burzy nie unosiła się w powietrzu, słońce złociło łany płowiejącego żyta, akcentowało srebro wykłoszonego jęczmienia, kładło na zieleń zbóż aksamitne tony. Wśród liści ptaki śpiewały całą siłą swoich gardziołków, a od łąk biegło wesołe „dana moja, dana“ dziewcząt i wyrostków, uwijających się z grabiami.

Wszedłem do ogrodu; pod oknami domu kwitły sztamowe róże. Jurek wskazywał właśnie ogrodnikowi, z których krzaków oczka do szczepów brać należy i tak był zajęty wyborem *Malmaison*, *Maréchal Niel*, *Gloire de France*, że zobaczył mnie dopiero, gdy byłem tuż przy nim.

Wyciągnął do mnie rękę, uśmiechnięty, spokojny, jakby nic zgoła nie zaszło w jego życiu, jakby zajmował się jedynie ogrodem i polem.

— Jakiż dobry wiatr cię sprowadza? — zawołał bez zakłopotania, z akcentem zupełnej szczerości.

— Jaki? Hm! Czy nazwiesz go dobrym, to jeszcze pytanie — odparłem, ściskając dłoń jego serdecznie.

Wpatrzył się we mnie przenikliwie i odparł swym metalicznym głosem:

— Dla mnie zawsze będzie dobrym.

Zostawił ogrodnika przy różach i szliśmy razem ku werendzie, otwierającej się na ogród.

— Jadę z Grabowca — wyrzekłem, chcąc od razu jasno postawić kwestyę.

Jerzy miał jedną z tych twarzy kobiecej delikatności, które zawodzą powierzchownego badacza; twarz ta zdawała się podatną wpływom wszelkim. W spokoju była miękka, zaokrąglona; oczy jasne, przysłonione długiemi rzęsami, zdawały się świadczyć, iż człowiek ten da we wszystkiem powodować sobą.

Tak było rzeczywiście w rzeczach nie obchodzących go wcale. Ale niechby kto próbował zadrasnąć jego przekonanie, dotknąć świętości, które nosił w głębi piersi!

Miękkie rysy zaostrzały się aż do surowości, rozszerzone źrenice nadawały czarny odblask spojrzeniu, brwi gęste jasnosobolowego koloru, rysowały się wyraźniejsze na pobladłej twarzy, cienka linia, łącząca je nad nosem, stawała się widoczną i nadawała mu wyraz nieugiętości, kontrastującej dziwnie ze zwykłym, niedbałym wdziękiem.

— Jedziesz z Grabowca — powtórzył tylko.

I szedł dalej, niczem nie zdradzając ciekawości ani niepokoju.

— Jerzy — zawołałem — czemużeś to uczynił?

— Co? — zapytał, stając przedemną..

— Jak mogłeś zerwać w ten sposób?

— Myślałem, że mnie spytasz, jak mogłem się oświadczyć. Ja sam, wierz mi, zadawałem sobie to pytanie.

— Więc dlaczegóż, dlaczego?

— Tak, dlaczego?

Usiadł na jednem z krzeseł, rozstawionych na werendzie, oparł głowę na ręku i siedział zamyślony.

— Powiedz — wyrzekł nagle, — czy nie zdarzyło ci się w życiu uczynić tego, czegoś na razie uczynić nie chciał? Pod wpływem chwili pod wpływem jakiegoś nieokreślonego wrażenia znaleźć się nagle tam, gdzieś nigdy zajść nie zamyślał? Jeśliś tego nigdy nie doświadczył, to próżnobym ci tłumaczył.

— Jurku! Człowiek powinien zawsze wiedzieć, czego chce i co czyni.

— Powinien! wielkie słowo. Alboż ja ci przeczę? Powinien, powinien, sto razy powinien! A jednak...

— Widzisz — zaczął znowu po chwili — niby mówimy wszyscy jednym językiem. Fałsz wierutny! To, co ja zamykam w niektórych dźwiękach, każdy rozumie na swój sposób i wzajem rozumiany nie jest. Każdy wzrok inaczej widzi, każde ucho inaczej słyszy, każde serce inaczej czuje. Jesteśmy wiecznie zabłąkani, żyjemy wśród nieporozumień nieustannych, chociaż nie zawsze domyślamy się tego. Czy nie tak?

— Jakżeż ci odpowiedzieć, jeśli nie możemy się porozumieć.

— Mniej więcej, mój drogi. Wszystko na świecie zamyka się w tem: *mniej więcej*. Nie mamy przecież ani doskonałych wag, ani miar, ani określeń. Przyjaźń, to zbliżone poglądy, zbliżony sposób odczuwania.

— A miłość, Jurku?

— Poeci, filozofowie, fizyolodzy wyczerpali wszelkie określniki. Czy chcesz, żebym ci je powtórzył? Miłość istnieje w nas utajona, jak wszelkie pierwotne potęgi. Któż zgadnie, co w danym razie powoła ją do świadomości? Unoszą się wkoło nas pierwiastki niepochwytne, nieobrachowane. Drażnią nas podniecają, wprawiają w ruch magnetyczne prądy. Sto razy przejdziesz około kobiety i nie rzucisz na nią okiem i padnie taka chwila, że serce rzucisz jej pod nogi, nie pytając, co z niem uczyni.

— To ma znaczyć, że w takiej chwili oświadczyłeś się Jani.

Widziałem już teraz wyraźnie sokole brwi złączone.

— Wiesz dobrze, żem ją kochał, kiedym jej to mówił, i wiesz także, żem popełnił szaleństwo — odparł oschle.

— Jurku! Jurku! Jakże to krótko trwało!

Zdawał się namyślać, czy wart jestem odpowiedzi, duma jego cofała się przed tłumaczeniem, a był w jednej z tych chwil, w których zwierzenia cisną się na usta. Czas jakiś ważyły się w nim wrogie i przyjazne myśli. Te ostatnie zwyciężyły.

— Kocha się tyle razy — wyrzekł zwolna, — kocha na mgnienie oka, na trwanie dnia, na wieczność... Czasem starczy na to spojrzenie jedno, harmonia barw... może jakie zaświatowe wspomnienie... Wyciągamy wtedy spragnione ramiona i najczęściej chwytamy cień tylko.

— Rozumiem! Jania była takim cieniem. Ale bądź sprawiedliwy, ona tego odgadnąć nie mogła.

— Ja też mam tylko żal do siebie... Chociaż... Posłuchaj. Czy wiesz, jak to było?

— Nie, wiem tylko, że oświadczyłeś się we wtorek, a zerwałeś w piątek.

— Powiedziano ci fakt tylko, opatrzony datami, fakt nagi, rzecz pozytywną niby, a jednak najmniej wyraźną. Fakt każdy może być owocem tylu pobudek!... Pojechałem do Grabowca, jak zwykle, nie wiedzieć dlaczego, jak się jeździ w odległe sąsiedztwa, gdy czas jest po temu. Grabowiec miał dla mnie urok. Lubiłem lipy, otaczające dwór, dzikie wino, którem jest obrośnięty, i postać jasną, ukazującą mi się w oknie, obramowanem lśniącym liściem. Jania, przysięgam ci, nie pochłaniała mojej myśli, była tonem w obrazie, tonem najsympatyczniejszym, nie przeczę, ale t o n e m tylko... Nie wiem, czyś zauważył kiedy przedziwną białość jej czoła, skroni, w których ta białość przybiera muszlowe odblaski; włosy, niby złoto oprawiające perły. Gdybym był malarzem, malowałbym ciągle te perły i to złoto. Jest w nich przedziwna harmonia. Nie maluję, ale lubiłem na nie patrzeć. Kolory mają dla mnie taki urok, jak dla innych dźwięki...

— Więc dla tej białości, dla tych perłowych odcieni! — zawołałem.

— Czemże jest piękność? — odparł spokojnie — barwą i linią. Klnę ci się jednak na wszystko: anim się kochał, anim myślał oświadczać. Patrzyłem na nią, jak na obraz, nic więcej...

— I nie pragnąłeś posiąść go na własność?

— W żonie przecież nie będę szukał obrazu tylko.

— Jednak są ludzie, co pod urokiem piękności pożyczają wszystkich cnót tej, co ją posiada, a potem wierzą święcie, że one są jej własnością.

— Ja tego nie robiłem — odparł z lekką dumą, — nie chcę łudzić drugich ani samego siebie. Widziałem doskonale, co mi się w Jani podoba, widziałem nawet, że twarz jej ma wiele niedoskonałości. Ale mogłem przecież patrzeć na nią, jak każdy inny. To do niczego nie obowiązuje. Jak na złość, nie było wówczas nikogo obcego w Grabowcu, nawet tego Karola, który, jak mi się zdaje, kocha się w Jani, bo patrzy zawsze tak, jakby mnie chciał połknąć. Doprawdy, przez litość, miałem nieraz ochotę uspokoić go, zaręczyć, że mu nie stanę na drodze... Jania nie podobała mi się na wstępie. Zaczerwieniła się mocno aż po korzenie włosów. Pytałem siebie, po co się u djabła rumieni? Nie ładnie jej z tem.

— Rozumiem. Znikły perłowe odcienia.

— Wydała mi się... no wydała taką, jaką jest. I wszystko było jaknajlepiej, dopóki nie zaczął zapadać wieczór. Siedzieliśmy z Janią na ganku. Matka jej była zajęta herbatą czy jakiemiś dyspozycyami. Zauważyłem, że dnia tego wywoływano ją nieustannie... Dzikie wino zwieszało się koło ganku w festony i mogłem widzieć Janię w tych ramach, jakby dla niej stworzonych. Na niebie zgasły już blaski zachodu, a blady księżyc rzucał na nią niepewne światło; promień jego igrał na jej włosach i wydobywał tę białość skroni, co mnie w zachwyt wprawiała i nadawał jej jakiś urok nieokreślony, gasząc zbyt żywe barwy.. Przeszedłem nawet na drugą stronę ganku żeby lepiej objąć ten obraz.

— I cóż Jania?

— Zdziwiła się. Spytała nawet z widoczną urazą, dlaczego się od niej odsuwam.

— A ty?

— Naturalnie, powiedziałem jej prawdę. Przyznałem się do rozkoszy, jaką niektóre szczegóły jej piękności sprawiały moim oczom. Ona powstała, uśmiechnęła się i w blasku księżyca obracała według moich wskazówek. Przytem przybliżyła się zwolna, aż stanęła tuż przy mnie srebrna i złota cała. Odrzuciła włosy z czoła i spytała, czy tak nie będzie jej ładniej. Włosy rozsypały się po niej, jak fala, zaczęliśmy je we dwoje układać, a promienie ich miękkie, jak pela, obwijały mi się około rąk, czepiały sukien i nie wiem jakim sposobem znalazły na moich ustach, Za włosami znalazło się czoło. Poczułem jej oddech na twarzy i słowo: kocham, kocham! wpadło mi w ucho... Czy powiedziało je serce Jani, które biło tuż przy mojem, czy drżało w powietrzu, przesycone wonią i blaskiem, czy wyszeptały usta? Nie wiem... Nadeszła matka i zaczęła nas błogosławić. Jania ściągnęła mi z małego palca pierścionek, który miałem po matce, a w zamian podała jakąś obrączkę. Nim konie zaszły przed ganek, byłem już zaręczony.

— I tyś nie protestował?

— Jakże tu protestować? A potem byłem sam oszołomiony, rozmarzony, no, jeśli chcesz, zakochany. Przyszła na mnie błyskawiczna chwila.

— Przyszła i minęła?

— Cóż chcesz, taka błyskawica może zagasnąć jak iskra, albo zamienić się w blask trwały. Gdybym miał czas, byłbym wprzód wybadał samego siebie, wypróbował, rozważył i cofnął się w chwili właściwej. Ale wszystko to zrobiło się tak nagle.. Dziwnie nagle!

Zrozumiałem lepiej od niego tę nagłość. Wszakże Jania oświadczyła matce stanowczo, iż przed końcem roku musi wyjść za mąż. Jurek

zdawał się tak łatwą zdobyczą. Widziałem nietylko scenę, którą opisywał, ale myśli dwóch kobiet. Tylko przerachowały się z nim.

— Nie wiem, jak i kiedy wróciłem do siebie — mówił Jerzy. — Uśmiechało się do mnie wszystko, we wschodzącem słońcu widziałem postać Jani, głos jej słyszałem w szmerze wiatru. Piłem szczęście pełną piersią.

Zamyślił się, jakby zastanawiał nad samym sobą.

— Doprawdy — wyrzekł znowu, — byłem przez dzień cały zupełnie szczęśliwy. Na drugi dzień pojechałem do Grabowca. Nigdy droga nie wydała mi się tak długą. Kazałem popędzać, konie całe w pianach stanęły przed gankiem. Zobaczyłem Janię... i... skończyło się moje szczęście.

Była chwila ciszy.

— Cóż chcesz — mówił dalej, podnosząc nagle głowę. — Przez cały dzień usiłowałem pochwycić minione wrażenie. Doczekałem się nawet księżyca. Zdawało mi się, że w jego blaskach odnajdę kobietę, którą kochałem wczoraj. Daremnie, wszystko daremnie. Przekonywałem się o tem z każdą chwilą. Jakiś głos jęczał we mnie, groził, płakał, wołając: To nie ona, nie, to nie ona!

— A perły oprawione w złoto?

— Zbrzydły mi odrazu, gdym przestał na nie spoglądać bezinteresownie. Panna Janina wydała mi się... ach! przepraszam cię, jesteś jej krewnym!... Są ludzie — mówił dalej, — którzy mogą się zrezygnować na bezmiłosne małżeństwo. Ta lub inna. Ostatecznie Jania jest przecież młodą, ładną. Z przywyknienia może się zrodzić dobry stosunek. I tom sobie mówił. Chciałem szczerze dotrzymać słowa. Dotrzymałbym, gdyby to było w mojej mocy, gdyby treścią obietnicy nie była miłość, która pierzchła bez powrotu. Może na mojem miejscu kto inny dotrzymałby. Ale cóż mnie ten inny obchodzi? Czy ja wiem, co czuje ten inny? Odpowiadam za siebie tylko. A ja nie mogłem postąpić inaczej. Napisałem przecież wyraźnie, że przyjmuję na siebie cały ciężar winy, że mogą co chcą tylko powiedzieć o powodzie zerwania. Ja wszystko zaakceptuję. Czegóż więcej żądać mogą?

Milczałem. Cóż miałem mówić? Przyznałem mu słuszność.

— Jedziesz z Grabowca! Może przyjechałeś mnie wyzwać? Ach! nie, w takim razie przysłałbyś mi wprost sekundantów. Powiedz, czy mogę więcej uczynić, jak powtarzać: moja wina! moja bardzo wielka wina!

— Wobec mnie masz zupełną słuszność. Ale wobec świata?

— Wobec świata jestem bankrutem. Wiem o tem. Dając pierścionek, podpisałem weksel, którego spłacić nie jestem w stanie. Cóż na to poradzić? Niech więc świat robi, co do niego należy.

Był wspaniały w tej chwili. Cała jego postawa mówiła: nie dbam o to.

— Gdyby panna Janina była moją żoną — wyrzekł znowu.

— To cóż? położenie byłoby trudniejsze.

— Wcale nie. Dałbym jej połowę majątku, cały majątek, coby chciała tylko. Ale tak? Mam nadzieję, że nie kochała mnie więcej, niż ja ją. Powiem ci nawet, że to czuję, jestem o tem przekonany. Ot! przyszła chwila na nią i na mnie.

— Masz słuszność. Kwestyę uczuć zostawmy na stronie; tymczasem jest tu kwestya inna. Ty możesz drwić ze świata, któryby cię niesłusznie potępiał. Ale świat widzi tu obrazę i krzywdę Jani, a ja wobec niego jestem jej obrońcą.

— Więc nie pozostaje ci, jak mnie zabić. Pomimo wszystkiego wiedziałem, iż z tem przyjechałeś.

— Jerzy!

— Jestem logiczny! W jakiż inny sposób bronić jej możesz, skoro potrzebuje obrony? Ja bo tego faktu nie uznaję. Pomiędzy mną a Janią zaszło proste nieporozumienie. Może ono być przykre, może nawet spowodować cierpienie dla jednej lub drugiej strony... Oto wszystko.

Miał słuszność, miał sto razy słuszność.

— Chyba — mówił dalej — że będziemy pannę uważali jako t o w a r, który koniecznie potrzebuje nabywcy. W takim razie mogłem targ popsuć, odstręczyć innego kupca i należy się odemnie odszkodowanie. Na to zgoda. Cóż ty o tem powiesz? Czy Jania jest osobą czy towarem?

Miał dziwnie dobitny sposób określania kwestyi.

— Jeśli jest *towarem*, a ja utrudniłem jego sprzedaż, to powiedz, co mam uczynić? Oznacz wysokość... ja zapłacę.

— Nie żartuj, Jerzy.

— Ależ ja nie żartuję. Każdy płaci, czem może. Nie ożenię się z Janią, bo jej nie kocham, a małżeństwo jest zobowiązaniem kochania. W tych warunkach żenić się byłoby z mej strony nieuczciwością. Ja jej nie popełnię.

Cóż mogłem odpowiedzieć?

— Jeśli — mówił dalej — masz jaki racyonalniejszy pogląd, powiedz? Przypuśćmy, że zamienilibyśmy z sobą parę mniej więcej szkodliwych kulek, poranili się, lub na zgodę zjedli śniadanie. Czy to zmieniłoby położenie?

— Nie zmieniłoby go z pewnością. A jednak wszystko to jest smutne.

— Byłoby smutne, gdyby Jania kochała mnie rzeczywiście. Stopień tej miłości mógłby wywołać bolesne kolizye, wpłynąć nawet na moje postępowanie, bez względu na to, czybym zaręczył się, czy nie. Ale tak, jak jest...

Zrobił ręką ruch lekceważący. Swiadczyło to, jak dobrze obrachował położenie.

Musiałem przyznać Jurkowi słuszność, słuszność we wszystkiem. Wcale co innego przyrzekałem Jani. Ale kiedy ją sobie przypomniałem, wściekłą, że jej się nie udało uplanowane małżeństwo, zajadającą truskawki, wśród łez gniewu, bujającą się w fotelu, to Jurek, wywikłany z jej marnych sideł, wydał mi się wprost wspaniały.

Zrozumiał widać moje myśli, bo dodał:

— No, nie bierz tych rzeczy tragiczniej, niż na nie zasługują i mówmy o czem innem.

Mówiliśmy o czem innem tak dobrze, iż na trzeci dzień byłem jeszcze u Jurka. Było to z mojej strony haniebne odstępstwo. Wszakże wyjeżdżając z Grabowca, przysięgałem Jani, że go zabiję. Poprzysięgałem, żeby ją uspokoić i ona dawała zapewne słowom moim taką wiarę, na jaką zasługiwały. Zawsze jednak należało mi wracać do Grabowca i przemówić do jej rozsądku. Niestety! jakże tu mówić do nieobecnego?

Pożegnaliśmy się z Jurkiem serdecznie. Teraz jechałem daleko więcej zafrasowany i gdyby mnie Cześ spotkał, miałby dopiero powód wyśmiewania się z mojej kwaśnej miny. Ha! co będzie, to będzie. Powiem Jani raz, co o tem wszystkiem myślę. A jeśli znów się rozszlocha, wsiądę na bryczkę i nie prędko mnie zobaczy.

Dodawałem sobie w ten sposób animuszu, choć wobec łez nie wiem, co byłbym uczynił.

W lipowej alei, wiodącej do dworu, dostrzegłem świeżą kolej, a przed stajnią powozik wyświeżony, wyczyszczony, błyszczący jak lustro, oślepiający słońcem, które odbijało się w szkle latarni i w bronzach ozdób.

Był ktoś z gości! To mi się udało.

Dwór wyglądał wesoło, jak gdyby owi oczekiwani goście przybyli. Na dziedzińcu folwarcznym słyszałem zwoływanie kurcząt, które miały paść ofiarą uroczystości, wysiadając spotkałem ogrodnika dźwigającego wszystko, co ogród mógł dać o tej porze. Z salonu doleciał mnie tubalny głos Czesia, który brzdąkając jednym palcem po fortepianie, śpiewał jakiś urywek z operetki. Powozik jednak, który widziałem przed stajnią, nie mógł do niego należeć. On zawsze na swoim szpaku odbywał podróże i oddawał wizyty. No, przynajmniej na razie, mogłem się łez nie obawiać.

Smiało otworzyłem drzwi do salonu.

Na kanapce siedziała Jania. Wcale nie ta Jania zła i płacząca, jaką zostawiłem, ale Jania odświętna, z najśliczniejszym uśmiechem, z najmilszym wyrazem, w najzgrabniejszej sukni, z grzywką tak pięknie ułożoną, iż zawstydziłaby peruki lalek w wystawach fryzyerskich. Patrząc na nią, niktby nie pomyślał nawet, że ona potrafi się gniewać. Miała sam miód i cukier w źrenicach; przymrużając figlarnie powieki, spoglądała na pana Karola. Ten na krześle, przysuniętem do kanapki, o ile można najbliżej, nie odwracał od Jani swych wyłupiastych oczu, lgnął do niej, jak mucha do słodyczy. Pomiędzy nim a Janią była ciągła wymiana uśmiechów i cichych słówek.

Cześ, żeby im nie przeszkadzać, bębnił po fortepianie, śpiewając walczyka o jakimś kosie czy pliszce.

Gdym wszedł i zatrzymał się w progu, obejmując wzrokiem ten niespodziewany widok, wszystko troje spojrzeli na mnie tryumfalnie. Jania tryumfowała, że z powodu Jerzego nie zostanie starą panną. Karol, że dzięki okolicznościom doszedł do celu swych marzeń a Cześ, ten tryumfował chyba w imię przyjaźni, ażeby w spotykającem mnie *trio* nie było fałszywej nuty.

Z tem wszystkiem po maleńkiej chwili pomięszania, zwykłego wobec nowej osoby, nieobeznanej z sytuacyą, powitano mnie bardzo serdecznie, a Cześ, wierny roli powiernika z komedyi, podał mi rękę, nie odrywając drugiej od klawiszów i gwałtem prawie posadził mnie obok siebie.

Naturalnie, że nie było mowy o misyi, z którą mnie wysłano. Nikt nie pytał, a ja nie myślałem składać sprawozdań.

Przyszła ciotka i pod pozorem, iż muszę być głodny, czemprędzej zabrała mnie z salonu, lękając się niepotrzebnej dywersyi.

— Cóż Jerzy? — spytała, gdy tylko znaleźliśmy się sami.

Zrobiłem ruch świadczący, że z tej strony wszystko było stracone.

— Jania, widzę, pocieszona już zupełnie.

— A to dobre! Jeszczeby go żałować miała!... Więc powiedz: to się już absolutnie nawiązać nie da? — pytała znowu, jakby się o tem dowodnie przekonać chciała.

— Absolutnie. Ale tu już widzę Karol targu dobija.

— Oświadczył się. Czekałyśmy tylko na ciebie z ostatecznem słowem. Ja już od dawna uważałam, że oni się mają ku sobie. Ty pewno uważałeś także. Wszyscy to widzieli. Wprawdzie majątek Karola nie wielki, ale ma bezdzietną ciotkę. Ona obiecuje mu wszystko zapisać. A po takiej kompromitacyi Jani, dobrze jeszcze, że się ktoś inny trafia.

— Przecież ciocia mówi, że oddawna Jania i Karol mieli się ku sobie.

— No! tak wszyscy uważali.

— W takim razie, na cóż był ten epizod z Jerzym?

— Doskonały jesteś, Bolku. Takiej partyi się nie odrzuca!

Nie pytałem więcej. Po co? Wyrazy miały dla nas odmienne znaczenie.

Przypomniałem sobie słowa Jerzego: Jania rzeczywiście była t o w a r e m. Jako „towar“ powinna była należeć do więcej dającego.

— Niech ciocia jednak przyzna — wyrzekłem, — że Jurek miał szczęśliwą rękę i dobrze *zatargował* pannę.

Nie wiedziała, czy mówię seryo, czy żartuję. A tymczasem z salonu dochodziły śmiechy i śpiewy, wśród których dominował głos Czesia. Pomyślałem sobie: coby tu robił Jurek! Jakżeby jego wykwintnej naturze marzyciela obco było w tym gwarze! Jakby Jania nudziła się przymusem, któryby bez wiedzy i woli na nich wywierał! Stanowczo, ten *towar* nie był dla niego.

SMIERĆ LALKI

wspomnienie z lat dziecięcych.

Pamiętam, był chmurny dzień. Jaskółki latały nizko przy ziemi, koguty piały, od czasu do czasu zrywał się wiatr, wysokie kłęby piasku podnosił z podwórza i gnał je het, za wrota, szerokim gościńcem. — Nie pozwoliła mi matka iść do ogrodu, mało się zresztą mną zajmując tego dnia.

Od rana panował w domu niezwykły ruch.

Zaufana służba... dziś pamiętam z niej tylko kręcącą się po pokojach niańkę moją i starego lokaja... zamieniała z matką krótkie urywane zdania.

Piotr, — było to imię starego sługi, — częściej niż inni podchodził do matki, która od samego rana robiła jakieś w domu porządki.

Kiedym się zbudziła, już ją ujrzałam zatrudnioną. Siedziała przy biórku, przetrząsając gorączkowo wszystkie szufladki, a dokoła niej leżało na podłodze mnóstwo papierów po największej części podartych, które Piotr zbierał starannie do ostatniego świstka, wrzucał w kominek i palił. Gdy spłonęły, rozgarniał popiół, jakby w nim czegoś szukał.

Od czasu do czasu przywołany, słuchał uważnie poleceń matki, kiwał głową, siwym wąsem czasem ruszył, a podnosząc jednocześnie brwi do góry, przytem ręką robił ruch taki, jakby uspokajał jakieś obawy, lub o czemś upewniał.

I rzecz dziwna, wiedziałam doskonale, że w domu nie ma chorego, nikt nie spał, a jednak, pamiętam dobrze, wszyscy mówili dnia tego półgłosem, lub szeptem i wszystkich twarze wyrażały niepokój, a ruchy pospiech.

Mną się nie zajmowano teraz wcale, chociaż zazwyczaj bywałam w domu ważną osobą.

Koło południa wszystko się uspokoiło.

Matka zasiadła do dużych krosien, stojących pod oknem, w tak zwanym sypialnym pokoju, na których rozciągnięta była kanwa.

Mnie, mimo nalegań, nie pozwalano wyjść, bo deszcz zaczynał padać. Matka moja wyszywała krzyż na kanwie, a ja z moją lalką, przywiezioną mi przez ojca z wielkiego miasta, siedziałam koło niej na mojem krzesełku i stroiłam lalkę kawałkami odrzuconej od roboty włóczki.

Lalka ta była najdroższą moją towarzyszką i mojem najmilszem marzeniem od chwili, w której marzyć o czemkolwiek zaczęłam.

Miałam wówczas lat pięć, a więc dość już długo przedtem, największem mojem pragnieniem było mieć lalkę dużą, którąbym mogła za rękę prowadzić na spacer, lalkę w bucikach, z długiemi włosami i koniecznie w różowej sukience. Miewałam wprawdzie dużo innych zabawek i lalek kilka; raz nawet, (musiało to zrobić na mnie silne wrażenie, bo pamiętam do dziś) dostałam lalkę w stroju panny młodej, ale ani ta, ani żadna inna, nie miała długich włosów i różowej sukienki. To też dopiero ostatnia, przywieziona mi bardzo niedawno przez ojca, ziszczała wszelkie moje marzenia i wymaganiom czyniła zadość. Nie rozstawałam się też z nią ani na chwilę.

Nazywałam ją Maniusią, bo to imię wydawało mi się najładniejsze. Mówiąc dobranoc rodzicom, zawsze im dawałam jej buzię do pocałowania; kładąc się spać, łóżeczko jej przysuwałam do swego łóżeczka, nawet do pacierza stawiałam ją przy sobie i dopiero po wspólnej modlitwie, układałam do snu, a często już usypiając, sama niepokoiłam się, czy „Maniusia“ dobrze przykryta kołderką..

Kiedy byłam niegrzeczną, nic mnie wtedy bardziej nie upokorzało od uwagi matki, że Maniusia na mnie patrzy.

Całemi godzinami z nią nieraz rozmawiałam, a kiedy „spała“ w ciągu dnia, nie tylko sama wtedy cicho mówiłam i chodziłam na palcach, ale prosiłam matki, żeby i ona nie rozmawiała głośno, bo Maniusia się zbudzi. Matka zawsze spełniała to moje dziecinne żądanie. Gdy kto drzwiami mocniej stuknął, płakałam z obawy, żeby się nie obudziła moja „córeczka“ która z takim trudem zaledwie udało mi się uśpić. Z każdym dniem kochałam ją coraz bardziej.

Nieraz matka opowiadała ojcu, kiedyśmy siedzieli razem przy obiedzie, różne szczegóły moich zabaw z lalką i przytaczała tysiączne dowody mej dla niej troskliwości. Wtedy wołali mnie rodzice, z kolei brali na kolana, całowali i głaskali. Nie rozumiałam zupełnie dlaczego, właśnie te fakty sprowadzały dla mnie ich pieszczotę, której zresztą w ogóle mi nie szczędzono, — ale lalkę za to kochałam jeszcze bardziej.

Owego dnia siedziałyśmy z lalką przy matce dość długo.

Dzwonek na południe już dawno przebrzmiał.

Matka co chwilę spoglądała w okno, a wbrew zwyczajowi, pytania zadawane przezemnie po trzy razy, zostawiała bez odpowiedzi.

Wtem znany mi tętent pędzonej stadniny, ozwał się na drodze.

Matce igła z rąk wypadła. Patrzyła w okno, lecz siedziała spokojnie.

Tętent zbliżał się szybko, i zamiast ginąć, jak zwykle, na stajennem podwórzu, rozlegał się tuż, tuż, pod samym domem.

Stadninę co dnia przypędzano po zachodzie słońca; wiedziałam o tem, bo wieczorem prawie co dzień przypominała mi matka, żebym nie wpadła pod konie. Usłyszawszy więc tętent, zaciekawiona jak zwykle, przystawiłam krzesełko do drugiego okna i wypatrzyłyśmy się obie z lalką na dziedziniec.

Niezwykły widok przedstawił się naszym oczom. Zamiast naszej ślicznej stadninki, z której znałam prawie każdego źrebięcia, zobaczyłam ze zdziwieniem mnóstwo, jak mi się wówczas zdawało, olbrzymich koni, a na tych koniach ujrzałam czarnych, opasłych jeźdźców z długiemi kijami w ręku. Kije te sterczały w górę wysoko, gdzieś jakby w chmury, a każdy kończył się ostrym szpicem. Trwogą zdjęła mnie niesłychana. Nikogo z tych ludzi nie znałam, a nieprzebyta ściana jaką utworzyli zwartym pod oknami szeregiem, zasłoniła mi nietylko wrota, stodoły, brogi, ale ani nawet czubka gołębnika z po za nich nie widziałam i ani kawałeczka nieba.

— Mamusiu, co to? ja się boję! — krzyknęłam, biegnąc do kolan matki i chowając głowę w fałdach jej sukni.

— Nie bój się, moje dziecko, nikt ci nic złego nie zrobi — mówiła matka, ale mimo pozornego jej spokoju, było coś w jej głosie, co mnie nim natchnąć nie mogło,

Lalkę ściskałam mocno.

— Biedna Maniusia! widzisz mamo, jak płacze! — mówiłam przez łzy i obie tuliłyśmy się do matki.

Drzwi od przedpokoju otworzyły się. Stanął w nich jakiś wielki, gruby pan, niepodobny wcale do tych, którzy u nas bywali. Zarost miał tylko po dwu stronach twarzy, a w środku wygoloną brodę z dołkiem i podbródkiem.

Pierwszy raz ujrzałam człowieka z takim zarostem. Uderzyło to moją dziecięcą wyobraźnię, Wszyscy ci mężczyźni, których widywałam dotąd przyszli mi na pamięć i porównywałam ich z przybyłym.

Ojciec mój nosił okrągły zarost, Piotr wąsy długie, bez brody, doktór miał rzadką małą bródkę, ksiądz nie miał ani wąsów, ani brody, — a „sąsiedzi“... bo tak nazywał ojciec tych panów, co przyjeżdżali czasem na obiad a czasem zamykali się z ojcem w jego gabinecie... ci „sąsiedzi“ mieli również albo same wąsy jak Piotr, albo brody, jak ojciec lub doktór, ale żaden nie był taki, jak ów pan, teraz przybyły.

Jego świecące guziki — nie uszły także mej uwagi...

Matka wstała z przed krosien, ja jedną ręką chwyciłam ją za suknię, drugą przyciskałam lalkę.

Wchodzący skłonił się, zamknął drzwi, zostawiając przy nich wyprostowanych dwu swoich towarzyszy.

Zaczął coś mówić do mej matki, ale go nic nie rozumiałam. Matka odpowiedziała mu jakoś inaczej niż zwykle mówiła. I jej także nie zrozumiałam. A potem zaczęli oboje chodzić po wszystkich pokojach.

Co to miało oznaczać, nie wiedziałam. A zdumienie moje nie miało już granic, kiedym zobaczyła, że ów pan zasiada po kolei przy każdym stoliku i biurku z szufladkami i przegląda, a nawet rozrzuca te same papiery i przedmioty, które matka tak skrzętnie układała i porządkowała.

Miałam nawet wówczas ogromną ochotę, powiedzieć temu panu, że porządek z temi papierami już mama sama dziś rano zrobiła razem z Piotrem. — Byłabym niezawodnie mu to powiedziała, alem jeszcze nie ochłonęła ze strachu przed tymi ludźmi stojącymi w dziedzińcu.

I jak miałam ochłonąć! W którekolwiek okno spojrzałam, to ich widziałam takie mnóstwo i wszędzie ich tylko widziałam i tylko ich samych zasłaniających mi cały świat.

Ciemne ich twarze, świecące oczy i u niektórych błyszczący kolczyk w uchu — przypominały mi tych dzikich, których widziałam na obrazkach w ***Robinsonie Kruzoe.***

Matka towarzyszyła temu panu wszędzie; przechodzili kolejno po wszystkich pokojach w całym domu milcząc, lub zamieniając, jak sobie dziś tłomaczę, jakieś wyrazy grzeczności. A zawsze rozmowa wypadała przy drzwiach do następnego pokoju, gdzie ten pan wpuszczał nas z mamą naprzód. Lalka szła wszędzie z nami.

Weszliśmy do pokoju ojca.

Pamiętam dziwnego doznałam uczucia na widok obcego jakiegoś człowieka, siedzącego na fotelu, stojącym przed biurkiem, przy którym widywałam zawsze tylko ojca i siadałam tyle razy u niego na kolanach. Tu ojciec pieścił zawsze mnie i moją lalkę, a teraz siedzi tu obcy człowiek z pękiem kluczy w ręku i otwiera sobie szufladki, jakby tu był panem.

Nie umiałam sobie zdać sprawy, co się ze mną dzieje — ale płakałam po cichu, mówiąc lalce do ucha:

— Cicho Maniusiu! nie płacz, nie bój się! — i przyciskałam ją do siebie, a sama tuliłam się do matki tak mocno, że mnie aż odsuwała chwilami.

A może i to powiększało moją obawę i łzy wyciskało mi z oczu, że ten pan miał przy boku pałasz, — bo Piotr mi już raz taki pałasz pokazywał i objaśniał: „wie panienka, jakby taki pałasz z pochwy wyszedł, to i głowę ściąć może komu należy...“

— Lalusiu, nie płacz! — szeptałam, bo nużby teraz ten pałasz się poruszył?... Zwiesiłam głowę na piersi i z pod oka, przez łzy, które mi wszystko dwoiły, widziałam, jak ten pan ciągle otwierał szafy, stoliki i biurka i zasiadając przy nich czytał listy, wysuwał szuflady, przeglądał papiery,... czasem brwi namarszczył, czasem po brodzie się gładził, a na nas nie zwracał wcale uwagi.

A Piotr, od czasu do czasu przeszedł przez pokój, ale na mnie ani spojrzał. Patrzył matce prosto w oczy, matka spojrzała na niego, nie przemówili ani słowa i wychodził. Zawsze niby to coś robił, po coś się wracał, ale nigdy nie patrzył na to, co trzymał w ręku, tylko w oczy matce. Raz nawet, stawiając świeżo oprawione świece na etażerce, o mało co nie strącił dużego zegara który za pociągnięciem sznurka grał śliczne piosenki. Po cóż Piotr teraz temi świecami się zajmuje? — myślałam — przecież dotąd świec do lichtarzy nie oprawiał nigdy o tej porze. Czemuż tak dziwnie dziś na matkę spogląda? I matka innemi patrzy oczyma na niego, niż zwykle, a nic do siebie nie mówią, a patrzą na siebie, jakby coś mówili. Co to wszystko znaczy?

Po obejrzeniu, jak się zdaje, wszystkiego, cokolwiek tam było, wstał ten obcy pan od biurka. A jeszcze zwróciła jego uwagę pusta ramka, w której zawsze ojciec miał mamy i moją fotografię.

Gdzie się ta fotografia podziać mogła?... — myślałam. A obchodziła mnie ona bardzo. Rodzice mi obiecali, że gdy pojedziemy do wielkiego miasta, to każą mnie odfotografować razem z moją lalką. Bardzo często układałam sobie plany, jak to my będziemy siedzieć razem i cieszyłam się naprzód, jak to ślicznie wyglądać będzie różowa sukienka mojej Maniusi na tej fotografii.

W tej chwili nawet myśląc o tem już zaczęłam gładzić włosy lalki, rozburzone z przestrachu, jakiego doznała... Przypomniałam sobie ten jej przestrach i znów spojrzałam w okno. Ujrzałam owych strasznych obcych ludzi i trwoga moja wróciła.

Matka tymczasem prowadziła dalej tego pana przez swój pokój, przez drugi z fortepianem, gdzie on już wszysko pooglądał, przez salon, (którego nie cierpiałam, bo był ogromny, a niańka mi mówiła, że w nim straszy), aż do sieni, aby przejść na drugą stronę domu.

Nie odstępowałam matki ani na krok. A kiedy drzwi do sieni się otworzyły — ścierpłam. W tej naszej widnej, wesołej sieni, gdzie rogi jelenie sterczały do koła ścian, gdzie tyle razy stałyśmy z matką, wyprowadzając ojca, gdzie ostatnim razem ojciec przy pożegnaniu aż płakał, tak mu żal było rozłączać się z nami — zobaczyłam gromadę obcych ludzi... daleko więcej, niż przychodzi robotników do obrachunku w sobotę... i to ludzi samych obcych, z błyszczącemi guzikami, a obok każdego stała duża strzelba i na czubku miała jakby rożen, tylko że błyszczący jak nóż... Taki strach mnie ogarnął, żem cała dygotała. Lalkę tuliłam mocno, ale ze strachu już i mówić nic do niej niemogłam.

A te rożny! jakże one mnie przerażały... Co też to może być? — myślałam — Piotr pokazywał mi różne rzeczy z magazynu, ale tego mi nie pokazywał.

W sieni, ten pan, z którym chodziłyśmy po pokojach, — zatrzymał się. Mówił coś do drugiego, który nie wiadomo po co przez ten cały czas trzymał rękę przy czapce. Mama zaś o parę kroków stała i widocznie czekała na niego.

— Mamusiu, chodźmy, chodźmy ztąd! — szeptałam, ciągnąc matkę za suknię.

— Moje dziecko, bądź grzeczna. Widzisz, że odejść nie mogę — powiedziała mi spokojnie.

Wtem spostrzegłam, że paru z tych ludzi jakoś dziwnie uśmiecha się do mnie, coś szepczą i pokazują na mnie palcami.

Więc jeszcze mocniej przycisnęłam lalkę i przytuliłam się do matki.

Jeden z nich wyciągnął rękę. Zadrżałam.

Czułam, jak mi serce bić zaczęło mocniej, jak u małego gołąbka, którego mi czasem dawano do ręki, a który drżał wtedy calutki, jakbym mu co złego zrobić chciała...

Obca ręka... bo tylko tę olbrzymią czarną, grubą rękę pamiętam... dotykała lalki. Wzięła ją za rączkę, potem wpół... Ja trzymałam mocno, ręka ta pochwyciła mocniej... ja jeszcze mocniej, ale gorąco mi się zrobiło, strach ogarnął mnie okropny, oczy zaszły łzami...

Lalkę puściłam!

W tej chwili ten pan skończył rozmowę. Szedł dalej: matka pociągnęła mnie za sobą do jadalnego pokoju. Drzwi były szklane. Obejrzałam się i patrzyłam przez łzy, a serce pierwszy raz w życiu biło mi jak młotem. Lalka przechodziła z rąk do rąk, oglądali ją, uśmiechali się do niej... potem znikła mi z oczu...

Po paru minutach głośny śmiech zwrócił moją uwagę w stronę dziedzińca.

Przez okno, przez które nie było nic widać, ani bramy wjazdowej, ani furtki do ogrodu, ani gołębnika, bo wszystko sobą zakryli ci ludzie, zobaczyłam wysoko, jakby w niebie, różowego, zdaje się, wielkiego motyla...

O zgrozo! to w górze, na ostry kij nadziana moja ukochana lalka! a dokoła niej podniesione oczy z wyszczerzonemi zębami i śmiech, śmiech okropny dla mnie, dziki, głośny śmiech!...

Zakipiało coś we mnie. Zapomniałam o strachu. Puściłam fałdy sukni matczynej. Skoczyłam do okna. Zrodziła się we mnie wściekłość, byłabym drapała te śmiejące twarze, ażby musiały płakać jak ja. Teraz łzy mi obeschły. Głos w gardle coś zdławiło. Wytrzeszczyłam oczy, aż mnie bolały, zacisnęłam pięści i stałam osłupiała.

Przy mnie była moja matka Spojrzałam na nią: jakiś dziwny, jak gdyby gorzki uśmiech, jakiego nigdy nie widziałam, miała na ustach, zwykle pełnych słodyczy i miłości. Oczy miała pełne łez.

— Co oni robią! — krzyknęłam wreszcie — mamo, jak ją to boli!...

— Jej już nie boli, moje dziecko — odpowiedziała matka — ona nie czuje... Umarła.

A całując mnie i pieszcząc dodała:

— Nie zapomnisz nigdy o jej śmierci... prawda?

Piotr stał o kilka kroków. Brwi ruszały mu się szybko. Patrzył to na lalkę w górze, to na moją rozpacz i oburzenie, a z pod siwych wąsów, jakby przez zaciśnięte zęby słyszałam wyrazy:

— Dobrze, dobrze!... dziecko spamięta! oj, niech spamięta!

Lalki więcej nie widziałam.

Umarła.

Śmierci jej nie zapomniałam, nie zapomnę nigdy.

L. Bińska.

ZAPISKI LITERACKIE.

— (*nit.*) **Władysław Bełza: „Poezye“.** Znany i ceniony pisarz p. Bełza zebrał utwory swoje, w różnych momentach nakreślone, i ująwszy je w jeden zbiorek, wydał w księgarni H. Altenberga pod ogólnym tytułem *„Poezye“*.

Mamy tu najprzód cały szereg wierszy okolicznościowych, napisanych na zgon różnych znakomitych ludzi, jako to: Wincentego Pola, Szujskiego, Bohdana Zaleskiego i wielu innych. Wszystkie one odznaczają się pięknym wierszem i podniosłym tonem, w jakim są utrzymane.

Z przekładów najlepiej wypadły dwa ustępy tłomaczone, a raczej naśladowane z Longfellow'a *„Do dzieci“* i *„Godzina dzieci“*, a także *„Scena z potopu“* Alfreda de Vigny.

W ogóle ton rzewności i prostoty najlepiej odpowiada rodzajowi talentu p. Bełzy. Liryka stanowi przeważający ton w lutni autora: gdy w nią uderzy, pewnym być może oddźwięku w sercu słuchacza, lub czytelnika.

Z rzeczy większych nieco, najpiękniejszym jest wiersz p. t. *„Szabla niewolnica“*, a także pełne harmonijnego rytmu pożegnanie dane młodemu poecie *„Na drogę“*, w którem wzniosłemi słowy kreśli wielkie posłannictwo poety.

— (*nit.*) **Nowiny literackie.** Pod tym skromnym tytułem poczęła wydawać od kilku miesięcy księgarnia H. Altenberga, jedna z najruchliwszych firm we Lwowie, małe rozmiarami i bezpłatnie rozsyłane pisemko, mające na celu informować publiczność o nowościach literackich. *Nowiny literackie* wychodzą co miesiąc i obejmują jeden arkusz druku, każdy zaś nadsyłający 30 ct. na koszta posyłki, może je otrzymywać przez rok cały. Dotychczas wyszły trzy numera, za miesiąc październik, listopad i grudzień i przyznać należy, że zupełnie odpowiadają swojemu celowi. Na zawartość każdego numeru składają się przedewszystkiem krótkie, ale literacko i bez charakteru reklamowego napisane sprawozdania z ważniejszych dzieł, pióra takich krytyków, jak Rossowski, Konarski i innych. Bardzo starannie prowadzona bibliografia, kronika literacko-artystyczna, wcale udatne wierszyki Konarskiego, Cypryana Norwida i Rossowskiego, wreszcie portrety wybitniejszych autorów dopełniają udatnej całości. Na wydawnictwo to wielce użyteczne, i jak dotychczas, wcale poważnie prowadzone, zwracamy uwagę naszych czytelników. Podjęcie jego zasługuje na istotne uznanie.

Bazar wiedeński R. LIBANA, Sukiennice, 18, poleca wielki wybór zabawek dziecinnych, kołnierze, mankiety, laski, parasole, teczki, albumy, przybory do podróży, wyroby skórzane, przedmioty brązowe i majolikowe, perfumy i mydełka. — **Ceny umiarkowane.** 2839 7 10

Oesterr.-ungar. Finanz-Rundschau.

Powszechne uznanie, jakiego dostąpiło nasze pismo, zniewoliło nas do **powiększenia go** i to tak pod względem **formatu**, jak i jego **treści**. — **W tych ramach będą, jak dotąd, wyczerpująco i objektywnie omawiane wszelkie postępy na polu finansów i gospodarstwa.** Ośmielamy się ufać, że pismo to w nowej formie znajdzie jak najszersze koło czytelników. Mimo **ofiar**, jakie musieliśmy ponieść, **powiększając pismo**, zostaje **cena abonamentowa niezmieniona** jak dotąd, ponieważ staramy się tylko o to, aby rozchodziło się ono w jak największej liczbie. — **Numera próbne wysyłamy darmo i opłatnie.**

Roczna prenumerata za 52 bogatych w treść numerów wynosi tylko 1 złr.

2872 5 6 **Administracya: Wien, I., Wallnerstrasse, 11.**

CHOCOLAT MENIER

największa fabryka na całym świecie. — Dzienna sprzedaż 50.000 kilogr.

Ostrzega się przed naśladownictwem.

2556 7 33

Kto używa „Concentré Maggi"

MOŻE MIEĆ ROSÓŁ SMACZNY

We flaszeczkach począwszy od 45 cent.

Ekstrakt do rosołu. HORS CONCOURS na wystawie powszechnej w PARYŻU 1889 (właściel fabryki był członkiem Jury rozdania nagród) Do nabycia we wszystkich handlach korzennych.

Skład fabryczny BEBRÜDER MAYER Wien, I., Maximilianstr. 13.

Egzystujący od roku 1827

HANDEL WIN i DELIKATESÓW

pod firmą

J. M. GOEBEL i SYNOWIE

w Krakowie, ulica Grodzka, L. 15,

poleca

Wina węgierskie, Hegyalajskie i Tokajskie wytrawne i maślacze. Wielki zapas **starych** win węgierskich z najsławniejszych lat. Wina austryackie, francuzkie, szampańskie, hiszpańskie, reńskie i t. p. Oryg. Jamaica Rum, Arak, Cognac francuski kuracyjny. Najlepsze wódki i likiery krajowe i zagraniczne. Porter angielski, piwo pilzneńskie, **oryg. piwo bawarskie (Culmbacher).**

Wielki skład Herbaty, towarów kolonialnych i zawsze świeżych delikatesów po cenach umiarkowanych. 2967 3 3

Doniesienie.

Niniejszem zawiadamiamy Szanowną P. T. Publiczność, że

Filia wiedeńska
Heilmana Kohna i Synów

ul. Grodzka, L. 9, I piętro,

została **bogato zaopatrzoną w wielki wybór gotowych**

SUKIEN MĘSKICH i DZIECINNYCH

na sezon jesienny i zimowy

w własnym zakładzie wykonywanych, w najnowszym fasonie, **po zdumiewająco niskich cenach.**

Aby uniknąć pomyłek, uprasza się Szanowną P. T. Publiczność dokładnie uważać na **numer domu**, gdzie nasz magazyn się znajduje.

Z uszanowaniem

Heilman Kohn i Synowie

ulica Grodzka, L. 9, I piętro.

Składy nasze: **W Wiedniu, w Krakowie,** ulica Grodzka, L. 9, **w Przemyślu, we Lwowie, w Czerniowcach, w Biały (Bielsku), w Opawie, w Pilźnie, w Tarnowie, w Rzeszowie, w Jarosławiu** i **w Stanisławowie.** 2132 27

Sprzedaż piwa na beczki i butelki
J. RIPPERA

w Krakowie, ul. św. Jana, 5,

poleca Szan. Publiczności zawsze na składzie utrzymywane piwa w butelkach i beczkach a mianowicie:

Piwo okocim. exportowe

Piwo okocimskie marc.

Piwo okocimskie wystałe

Piwo pilzneńskie eksport.

Piwo pilzneńskie wystałe

Piwo ołomuniec. marcow.

Piwo ołomuniec. wystałe

Bock okocimski.





Powyższe gatunki piwa utrzymuję na składzie w beczkach $^1/_1$, $^1/_2$, $^1/_4$ hektolitra, również i w butelkach $^1/_2$ i $^1/_1$ litrowych.

Przy odbiorze przynajmniej 10 butelek piwa Pilzneńskiego opuszczam na każdej butelce 1 centa, przy innych gatunkach na 10 butelkach dodaje się jedenastą darmo.

Dla większej wygody Sznownej Publiczności zaprowadziłem **flaszki z zamknięciem hermetycznem porcelanowemi korkami**, które są przeciągnięte zelono-białym sznureczkiem, a plomba zaopatrzona firmą **J. Ripper, Kraków,** na zastaw których zostawia się kaucyi 10 centów, na zwykłą butelkę korkowaną 5 centów, którą przy zwrocie butelek zwracam.

Polecając się przy nadchodzących świętach łaskawym względom Szan. Publiczności, ręczę **za dobroć gatunków i wystałe piwa**, oraz rzetelną usługę

Z poważaniem

J. Ripper.

2919 3 3

SKŁAD
TOWAROW ŻELAZNYCH i NORYMBERGSKICH

pod firmą

EMANUEL TILLES

w KRAKOWIE

przy ulicy Grodzkiej, L. 36 (we własnym domu).

Poleca swoje zapasy towarów jakoto:

Noże, widelce, łyżki z różnego metalu, scizoryki, korkociągi, nożyczki i brzytwy. Wagi balansowe, kuchenne i decymalne. Przyrządy i naczynia kuchenne, żelazne i blazane emaljowane. Samowary tulskie, tace, ceraty. Narzędzia rzemieślnicze, zamki, kłódki, okucia i t. p. Główny skład kas ogniotrwałych. Piece żelazne, tace przed piec, łóżka, umywalnie i wieszadła Ceny najumiarkowańsze i stałe. 2959 3 10

Każdy własnym młynarzem!



Najnowsze młyny ręczne i kieratowe

dostarczają **najdelikatniejszej mąki, kaszy i otrąb lub mąki szrótowej**, są łatwe do ruchu, mogą być przez każdego kierowane i są tanie pod względem ceny nabycia. Illustrowane prospekta i próby mlewa na żądanie darmo i opłatnie.

AUGUST KOLB,

fabryka maszyn rolniczych, pomp i prań,

w Wiedniu, Währing (XVIII B.) Anastasius Grün-Gasse, Nr. 30. 2725 12 13

Uwaga. Rzetelni agenci i odprzedający będą przyjęci.

BAZAR
WYROBÓW KRAJOWYCH

pod zarządem 2955 2 3

Gminy miasta Krakowa

róg ulicy Wiślnej i św. Anny.

Poleca w nowo urządzonych magazynach: Prawdziwe Korczyńskie płótna, chustki do nosa, ręczniki, obrusy i serwety, sukna z Kęt, Łańcuta i Sławuty, oraz koce i derki na konie, koronki klockowe niciane, płócienka i Dryle z Andrychowa, kilimy i portyery z Wschodniej Galicyi i Andrychowa, majoliki Kołomyjskie, wyroby koszykarskie z Wiązownicy, żelazne kute z Krasiczyna, rzeźby Zakopańskie i Rymanowskie, serdaki, kożuchy i kryniczanki sądeckie, kierpcie i chodaki rymanowskie i mnóstwo innych w kraju wyrabianych przedmiotów.

Wystawa nieustająca
Wyrobów stolarskich, tapicerskich i tokarskich
Związku stolarzy krakowskich

przy ulicy Floryańskiej, w pobliżu bramy, L. 57,

poleca

Wielki wybór mebli własnego wyrobu do salonów, pokoi sypialnych i jadalnych, budoarów, gabinetów, bibliotek itp.

Podejmujemy się wszelkich **urządzeń apartamentów od najwykwintniejszych do zupełnie skromnych umeblowań**, również przyjmuje się wszelkie zamówienia i reparacye na roboty stolarskie, tapicerskie i tokarskie.

Fabrykaty meblowe z fabryk krajowych i zagranicznych. Wielki wybór **mebli bambusowych** z pierwszej krajowej fabryki w Wiśniczu, wyłącznie tylko u nas na składzie.

Wszelkie wyroby **mebli giętych wyplatanych** również fabrykacyi tutejszej.

Przez powiększenie obecnej Wystawy, składającej się z parteru i pierwszego piętra, mamy duży wybór mebli i umeblowań zupełnie wykończonych, tak, że wszelkie zamówione rzeczy na czas oznaczony dostarczone być mogą.

Za dokładne wykonanie udziela się gwarancyę.

Ceny nader przystępne.

Ciesząc się już dotąd licznemi uznaniami ze strony Szanownej Publiczności, polecamy się i mamy nadzieję, iż nadal P. T. Publiczność poprze nasze usiłowania.

2901 2 0 **Zarząd.**

Wielce ważny wynalazek przeciw stanowi osłabienia!

Dla Mężczyzn!

Wzmacniająca kuracya za pomocą **Potentatora** przywraca osłabioną, albo utraconą siłę. Nieznaczna zewnętrzat, pod gwarancyą nieszkodliwa, przyjemna, kuracya bez podniecania. Świadectwa najwybitniejszych profesorów, gorące lekarskie polecenia i tysiące pism dziękczynnych radykalnie uzdrowionych doradzają bezinteresownie użycie **Potentatora.** Przesyłka pocztowa i opakowanie dyskretne. Zawartość i pochodzenie nie do poznania. — **Dr. CARL ALTMANN, Wien, VII., Mariahilferstrasse, 70.**

Prospekty wysyła się na żądanie darmo i opłatnie. 2572 10

Wyroby gumowe

francuskie, w najlepszym gatunku, za tuzin 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7 i 8 złr. **Suspensoria** i t. p. Zbiór składający się z 25 sztuk 5 złr. Wysyłka pod sekretem. 2349 13 26

J. Reif, specyalista, **Wiedeń, IV., Margarethenstrasse, 7.**

Cenniki darmo, opłatnie i pod sekretem.

„Zum goldenen Reichsapfel" **J. Pserhofera** Apteka w Wiedniu,

I., Singerstrasse, 15.

Pigułki czyszczące krew, dawniej zwane **pigułkami uniwersalnemi,** zasługują najzupełniej na tę nazwę, gdyż istotnie jest wiele chorób, w których te pigułki swój znakomity środek okazały. — Od kilkudziesięciu lat pigułki te są ogólnie rozpowszechnione, przez wielu lekarzy przepisywane, a nie ma pewnie rodziny, którąby nie posiadała małego zapasu tego znakomit. środka domowego.

Pigułki te kosztują: **1 pudełko z 15 pigułkami 21 c., 1 zwój z 6 pudełkami 1 złr. 5 c.,** za zaliczką nieopłacone **1 złr. 10 c.**

Za poprzedniem nadesłaniem kwoty pieniężnej wypada przesyłka opłatnie: 1 zwój pigułek 1 złr. 25 ct., 2 zwoje złr. 2·30, 3 zwoje złr. 3·35, 4 zwoje złr. 4·40. 5 zwoi złr. 5·20, 10 zwoi złr. 9·20. (Mniej niż jeden zwój nie posyła się.)

Uprasza się wyraźnie „J. Pserhofera pigułki czyszczące krew"

zażądać i na to uważać, że napis wierzchni każdego pudełka ma podobiznę podpisu **J. PSERHOFER** w **CZERWONEJ** barwie jak w opisie użycia.

Balsam na odmrożenia J. Pserhofera. 1 słoik 40 ct., z przesyłką franco 65 cnt.

Sok z babki zaostrzonej 1 flaszeczka 50 ct., przeciw nieżytowi, chrypce, kaszlowi.

Ameryk. maść gośćcowa 1 złr. 20 centów.

Proszek przeciw poceniu nóg cena pudełka 50 ct., z opłat. przesyłką 75 ct.

Balsam na wole, 1 flaszeczka 40 centów, z opłatną przesyłką 65 centów.

Esencya życia (krople praskie) na zepsuty żołądek, złe trawienie 1 flaszeczka 22 cnt.

Angielski balsam, 1 flasz. 70 c., mała 12 cent

Proszek fijakierski piersiowy, 1 pudełko 35 cent., z opłatną przesyłką 60 centów.

Pomada tannochininowa J. Pserhofera. najlepszy środek do porostu włosów. 1 słoik 2 złr.

Plaster uniwersalny prof. Steudla, na rany. 1 słoik 50 ct., z opł. przes. 75 ct.

Uniwersalna sól przeczyszczająca A. W. Bulricha, znakom. środek domowy na złe trawienie. 1 paczka 1 złr.

Oprócz wyżej wymienionych wyrobów są jeszcze na składzie wszelkie w austryackich dziennikach ogłaszane krajowe i zagraniczne apteczne szczególności; nieznajdujące się zaś na składzie zostaną na żądanie natychmiast sprowadzone i jak najtaniej.

Rozsyłki pocztowe wysyłane będą jak najszybciej za gotówkę, większe zamówienia także za zaliczką należytości.

Przy nadesłaniu kwoty z góry (najlepiej przekazem pocztowym) wypada porto znacznie niżej, niż za zaliczką. 101 4 12

LAMPY DITMARA

w niezwykle wielkim wyborze do wszelakiego oświetlenia

osiągają największą siłę światła przy stosunkowo bardzo małem zużyciu nafty.

Palniki o sile światła od 4 do 157 świec.

LAMPY STOŁOWE — LAMPY WISZĄCE — LAMPY ŚCIENNE — ŚWIECZNIKI — LAMPKI NOCNE — LAMPY DO LATARŃ — LAMPY OBELISKOWE z umbrami koronkowemi — LAMPY POSTUMENTOWE. 2390 13 14

R. DITMARA c. k. uprzyw. FABRYKA LAMP w WIEDNIU, 3/1.

Lampy Ditmara ma na składzie każdy renomowany handel lamp.